SOBOTA

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 147 16 GRUDNIA 1978 R. CENA 1.50 ZŁ

W POSZUKIWANIU DROGI DO WŁASNEGO TEATRU

30 listopada z radością sygnalizowaliśmy, że nareszcie powstał w Warszawie Teatr Młodych pod artystycznym kierownictwem Mieczysława Gajdy. Zamierzamy uważnie śledzić, w jaki sposób zespół tego teatru będzie realizował swoje ambitne plany, w nadziei, że da on przykład, jak można zapełnić lukę istniejącą w repertuarach teatrów „dorosłych" i lalkowych, i czym zainteresuje widzów „na granicy" wieku – trzynasto-, czternasto- i piętnastolatków. Równocześnie zdajemy sobie sprawę, że ta inicjatywa jest kroplą w morzu potrzeb i długo jeszcze trzeba czekać na powszechne teatralne „wyrobienie" nastoletniej publiczności. Na szczęście Teatr Młodych nie jest sam...

CIĄG DALSZY NA STR. 4

Fot. **J. Łopuszyński**

UROCZYSTY APEL W SZKOLE NR 55

W pierwszych dniach grudnia w szkole podstawowej nr 55 im. Pawła Findera w Warszawie odbył się uroczysty apel przygotowany przez członków Koła Historycznego i jego opiekunkę, panią Janinę Kurowską.

We wrześniu przedstawiciele tej szkoły wraz ze swoją opiekunką uczestniczyli czynnie w sympozjum zorganizowanym przez Bielską Komendę Chorągwi ZHP, a poświęconym Pawłowi Finderowi, którego imię przyjmuje Chorągiew w Bielsku-Białej.

W bielskim sympozjum udział brała pani Gertruda Pawlak-Finderowa – żona działacza i bohatera, której opowieść o młodzieńczych latach Pawła – spędzonych właśnie w tym mieście – odtworzono z taśmy magnetofonowej na szkolnym apelu. W taki właśnie sposób młodzież z tej szkoły pogłębia wiadomości na temat swego bohatera.

(wm)

Sport i zabawa dla wszystkich

„Wszyscy na start" – to hasło cyklicznego programu polskiej TV zachęcającego do czynnego wypoczynku na świeżym powietrzu. Atrakcyjność programu i formy przypadła do gustu wielu zwolennikom tego rodzaju rekreacji, a już uczniów i pedagogów szkół podstawowych miasta i gminy Pleszew, woj. kaliskie, wręcz pasjonują harce i sportowe zmagania w formie zabawowej. Im też przypadła w udziale rola gospodarzy kolejnego turnieju, rozegranego w końcu listopada br. w Pleszewie.

Do rywalizacji w 19 konkurencjach sportowo-rekreacyjnych stanęło ponad 100 uczniów i pedagogów ze Szkoły Podstawowej nr 3 w Pleszewie i Szkoły Podstawowej w Kowalewie. W przedturniejowych zmaganiach lepszym przygotowaniem wykazały się drużyny SP-3, w turnieju zwycięstwo odnieśli jednak zawodnicy z Kowalewa i zdobyli puchar naczelnika miasta i gminy.

(jarz)

1000 LAT POLSKI NA MORZU

SIERPIEC (HSI). Szczep drużyn ZHP im. Władysława Broniewskiego przy tutejszym Zespole Szkół Zawodowych razem z Płockim Towarzystwem Naukowym był organizatorem sesji popularnonaukowej pod hasłem „1000 lat Polski na morzu". Obejmowała ona między innymi takie tematy jak: „Znaczenie i rola dostępu do morza za Piastów i Jagiellonów", „Polityka morska królów elekcyjnych", „Rola floty handlowej w gospodarce PRL". Wygłoszono również komunikat o kontaktach szczepu harcerskiego z załogą statku PLO „Władysław Broniewski". Uroczystym punktem programu sesji było przekazanie harcerzom flagi Polskich Linii Oceanicznych. **(kż)**

Znaczki na olimpiadę

ZSRR (CAF). Chociaż od olimpiady Moskwa-80 dzieli nas jeszcze cały rok, przygotowania do niej trwają już od dawna. Ostatnio Ministerstwo Łączności ZSRR wypuściło kolejną serię znaczków, poświęconą zbliżającej się olimpiadzie. Że są one bardzo olimpijskie i bardzo ładne – przekonacie się sami oglądając zdjęcia.

(kl)

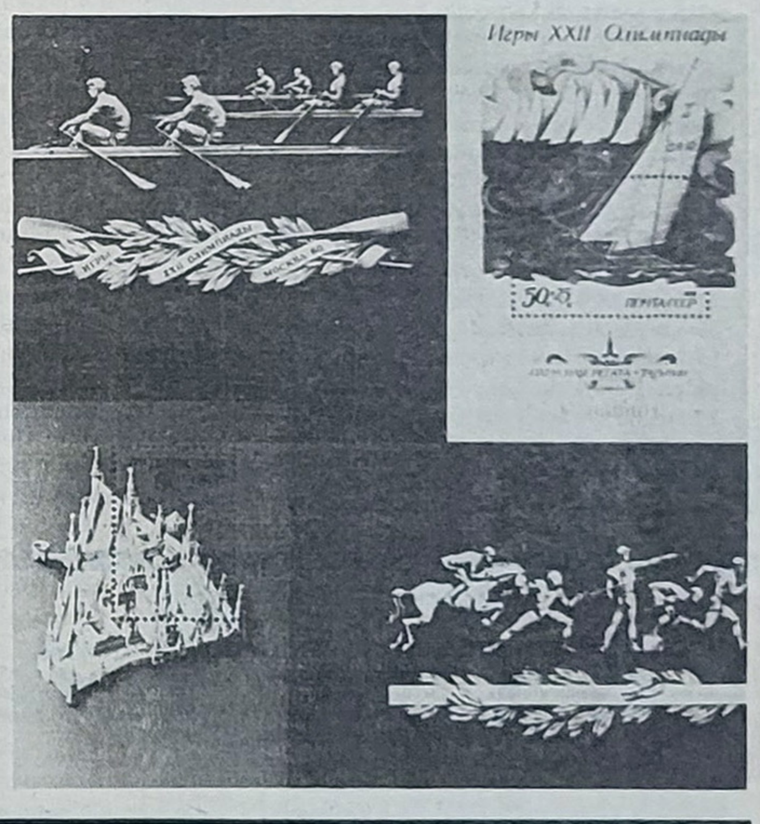

Fot. **CAF**

WARSZAWA (HSI). Ogólnopolski Konkurs Rysunków i Malarstwa o tematyce związanej z Narodowym Funduszem Ochrony Zdrowia ma już trzyletnią tradycję. Na tegoroczny nadesłano 860 prac, z czego 131 najlepszych znalazło się na wystawie w Ogrodzie Zimowym warszawskiego Pałacu Młodzieży. Autorzy wyróżnionych prac otrzymali nagrody – przybory malarskie

MALOWIDŁA NA SZKLE

za sumę 1500 złotych. Nagrodę specjalną uzyskała najmłodsza uczestniczka konkursu – czteroletnia **Blanka Urbanellis**, a nagrodę zbiorową **Młodzieżowy Dom Kultury „Jutrzenka" z Zakopanego** za zestaw 23 malowideł na szkle, które ozdobią wnętrza Centrum Zdrowia Dziecka. **(pas)**

Niezwykły pasażer

INDIE (PAP). W przepełnionym autobusie miejskim, kursującym w Bangkoku, wybuchł pewnego dnia popłoch. Sprawcą okazał się... orangutan. Małpa „wsiadła" do autobusu trzymając w łapie kiść bananów i wyciągając je gościnnie w stronę strwożonych pasażerów, jakby chciała ich poczęstować. Nikt nie kwapił się jednak do przyjęcia poczęstunku. Kierowca zatrzymał autobus, wezwano pracowników ogrodu zoologicznego, którzy ujęli zbiega.

W klatce, w której przebywała małpa, znaleziono niewielki kamień. Prawdopodobnie ktoś go tam wrzucił. 20-letni silny orangutan kamieniem tym rozbił w nocy tylną ściankę klatki i wydostał się na wolność. Przygoda przedsiębiorczej małpy trwała jednak króciutko: niefortunny wędrownik wylądował raz-dwa w domowych pieleszach.

Warto o tym wiedzieć

30 LAT WALKI O SZCZĘŚCIE JEDNOSTEK I NARODÓW

30 lat temu, 10 grudnia 1948 r. Zgromadzenie Ogólne ONZ przyjęło jeden z najszlachetniejszych dokumentów wszechczasów – Powszechną Deklarację Praw Człowieka. Po raz pierwszy organizacja o zasięgu światowym ustanowiła akt o bezprecedensowym znaczeniu. W gwarancjach poszanowania podstawowych praw człowieka państwa członkowskie ONZ widziały skuteczną barierę przeciwko groźbie odrodzenia faszyzmu i zbrodni ludobójstwa.

Przyjęcie Deklaracji rozpoczęło długą walkę o właściwą konkretyzację tych praw. Jej najważniejszym rezultatem stało się jednomyślne uchwalenie na XXI sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w grudniu 1966 r. tzw. Paktu Praw Ekonomicznych, Społecznych i Kulturalnych oraz Paktu Praw Cywilnych i Obywatelskich. Kontynuacją i rozwinięciem idei Deklaracji sprzed 30 lat było następnie przyjęcie w 1969 r. Deklaracji o Postępie Społecznym i Rozwoju.

Przez cały czas trwania prac nad konkretyzacją praw człowieka, ścierały się dwie tendencje: kapitalistyczna, traktująca prawa człowieka jako wąsko pojęte swóbody jednostki oraz socjalistyczna, akceptująca obok praw obywatelskich i politycznych także prawa ekonomiczne i społeczne. Dokument uchwalony w 1966 r. jest potwierdzeniem zwycięstwa koncepcji socjalistycznej.

Powszechna Deklaracja Praw Człowieka i Pakty Praw Człowieka są fundamentalnymi dokumentami ONZ regulującymi prawa jednostki i całych narodów. Wytyczają one jednocześnie dalsze drogi działania tej organizacji w obronie wolności i godności wszystkich mieszkańców Ziemi.

Walka o prawa człowieka trwa już 30 lat i zapewne będzie jeszcze przez długie lata głównym celem działalności ONZ. Do tej pory na forum tej organizacji oraz w różnych jej wyspecjalizowanych agencjach wypracowano ponad 50 dokumentów w formie konwencji bądź deklaracji, które traktują o szczegółowych prawach człowieka. Polska była inicjatorem uchwalenia konwencji o nieprzedawnianiu zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości. Nasz kraj miał wydatny udział w opracowaniu deklaracji a następnie konwencji o likwidacji wszelkich form dyskryminacji rasowej, również aktywnie uczestniczyliśmy w powstaniu Deklaracji Praw Dziecka. Aktualnie na warsztacie ONZ znajdują się dwa polskie projekty – Konwencja Praw Dziecka oraz Konwencja o Powszechnym Prawie do Pracy. Mimo rzeczywistych osiągnięć ONZ w walce o prawa człowieka, rzeczywistość współczesnego świata ciągle jeszcze odbiega od ideałów zawartych w różnych deklaracjach i konwencjach. Ale przecież bez tego szlachetnego działania świat przedstawiałby jeszcze smutniejszy obraz. (b)

Rokrocznie w ogólnopolskim szale przebudowywania wsi ubywa z jej krajobrazu niemało starych, drewnianych chat i zagród, wiatraków i młynów, tartaków i olejarni. Rokrocznie na to samo miejsce przybywa około stu tysięcy nowych domów mieszkalnych i zabudowań gospodarczych. Oczywiście różniących się wyglądem i stylem od dawnej, tradycyjnej architektury. A więc już nie kryta strzechą chata, tylko porządny piętrowy murowaniec z kilkoma pokojami, garażem i łazienką. Z wszelkimi wygodami. I trudno mieć tu do dawnego użytkownika pretensje, że wreszcie zachciało mu się mieszkać po ludzku – w wygodach. Trudno oczekiwać sentymentów i wymagać, aby i on żył wiecznie w takich samych – niejednokrotnie bardzo prymitywnych – warunkach jak jego ojciec czy dziad.

Chaty umierają stojąc...

Istnieje dziś powszechne dosyć przekonanie, że drewno to surowiec nietrwały, a co za tym idzie nie bardzo już dziś w budownictwie przydatny. Tymczasem tak wcale nie jest.

Drewno, jeśli dobrze poznać jego naturę, zgłębić każdą jego tajemnicę, a później wiedzę tę odpowiednio wykorzystać, potrafi przetrzymać bardzo wiele.

W siedemnastowiecznej, anonimowego autora *„Krótkiej nauce budowniczej dworów, pałaców, zamków, podług nieba i zwyczaju polskiego"* zawarto całą wspaniałą, a przy tym szalenie prostą mądrość, niezbędną w sztuce stawiania domów, którą posługiwali się nasi przodkowie. A więc przede wszystkim: *„Dobre budowanie musi mieć trzy okoliczności: naprzód moc i gruntową trwałość, potem wczas w wygodę, na koniec czas i piękny pozór.*

Z tych okoliczności dwie pierwsze koniecznie zachować trzeba, trzecią – o ile być może. A zachowasz, gdy będzie dobre budynku położenie, materyja, forma, a potem umiejętny rzemieślnik i dobra jego robota".

Kto wie, gdyby dzisiaj kontynuowano doskonałe tradycje starego budownictwa ludowego, z pewnością uniknęlibyśmy wielu kłopotów w postaci rozeschniętych podłóg, wypaczonych okien i rozpadających się drzwi. Tylko któż teraz, przy obecnym tempie rozwoju budownictwa i przemysłowej metodzie stawiania domów może sobie na to pozwolić? No bo na przykład, niegdyś surowiec przeznaczony do budowy dobierano niesłychanie starannie. Jeśli miała to być sosna, to nie młodsza jak stuletnia, cięta w jesieni lub zimą, kiedy ustaje krążenie soków i wilgotność pnia jest mniejsza. A potem czekało ją jeszcze co najmniej pięć lat leżakowania pod osłoną od deszczu i słońca. Aby zaś podstawy domu były solidne i odporne na kaprysy pogody, do niskich jego partii zalecano stosowanie twardego, wytrzymałego dębu, wyżej natomiast szedł świerk i jodła. Samą lokalizację wybierano również bardzo starannie, dbając, aby było to miejsce zdrowe. A zatem ani zbyt wysokie – bo zimno i wiatry są mocno szkodliwe, ani też za niskie – bo z kolei wilgoć i grzyb łatwo wdać się może. Najodpowiedniejszą wydawała się być równina lub pagórek „z prospektem wesołym".

Tak od początku z rozmysłem budowana chałupa, wiatrak czy wiejski kościółek, przetrwały niejednokrotnie w bardzo dobrej kondycji wieki całe, z powodzeniem przeżywając kolejnych jej użytkowników.

Niechęć do strzechy pradziadka

Oczywiście nie wszystkie zachowane do dziś budynki ludowej architektury drewnianej prezentują doskonały stan. Przyczyn tego jest kilka. Przede wszystkim z biegiem lat ich budowniczowie coraz częściej zmuszeni byli odstępować od zasad dawnego, surowego reżimu. Zwiększały się kłopoty z surowcem, obniżała się jego jakość. Nie przestrzegano też starego obowiązku sezonowania drewna. Nic więc dziwnego, że żywot jego był krótszy i bardziej chorowity. Najczęściej atakował go grzyb, czyniąc w całym organiźmie ogromne spustoszenia. Wystarczyło przecież, aby kolejni jego gospodarze nie przejęli się zbytnio zaciekiem na dachu, nieuszczelnionym oknem czy pęczniejącą z nadmiaru wilgoci podłogą – by powoli, acz systematycznie, dawny kościółek, dworek, młyn czy tartak przeistaczały się w żałosną ruderę. Trzeba jednak oddać prawdzie sprawiedliwość i nie zwalać całej winy na mikroorganizmy. Wiele bowiem rzadkich i niestety niemożliwych już do odtworzenia obiektów: starych drewnianych chałup, wiatraków, olejarni zniknęło z krajobrazu naszej wsi w efekcie – nazwijmy to – niemożliwości porozumienia. Cóż bowiem z tego, że konserwator uznał jakiś element wiejskiej architektury za godny otoczenia specjalną opieką i zachowania dla następnych pokoleń, skoro przepisy finansowo-prawne towarzyszące transakcji wykupienia zabytku są tak skomplikowane, że odstraszają już na samym początku. Gdyby więc w interesie obu zainteresowanych stron maksymalnie je uprościć, na pewno uniknęłoby się wielu desperackich rozwiązań przy użyciu siekiery i piły...

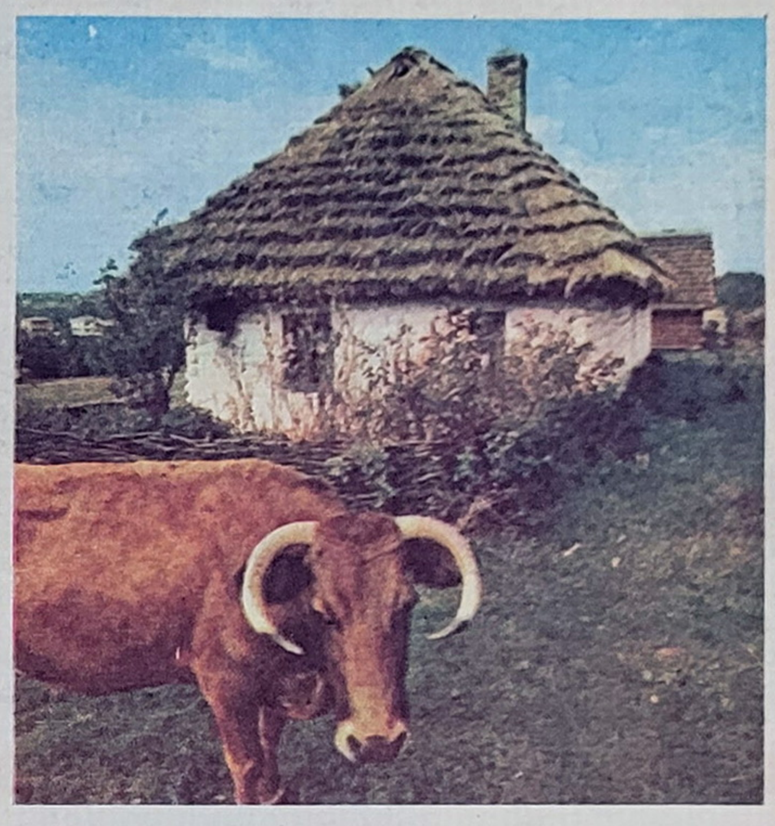

Co prawda dwanaście lat temu ukazał się **„Memoriał w sprawie ochrony budownictwa drewnianego w Polsce"**, tzw. czarna księga, gdzie przedstawiono niewesołą sytuację starej architektury ludowej oraz proponowano sposoby jej ratowania. Ale jak życie dowiodło już tego nieraz – na papierze zalecenia i propozycje zapowiadają się doskonale, natomiast gdy przyjdzie zastosować je w praktyce, wyglądają o wiele gorzej. W tym wypadku było podobnie. Brakowało pieniędzy, brakowało fachowców, brakowało wreszcie zbiorowych chęci... Sytuacja polepszyła się dopiero na początku lat 70 i właściwie od tej pory należałoby mówić o konkretnej, przemyślanej akcji ratowania drewnianych zabytków.

Z każdym przecież rokiem przybywa coraz więcej budynków gospodarczych, przemysłowych czy sakralnych, których stan wymaga natychmiastowej konserwacji. Trzeba je szybko ratować, bo drugich takich samych już nie będzie. Zmieniają się bowiem czasy, zmieniają się obyczaje na wsi, zmienia się jej architektura. Kto dziś z młodych potrafi opisać orawski dom z wyżką, kto wie, co to jest folusz i jak wyglądał damski okolnik z lubelskiego...

Chroni się więc wszystko to, co reprezentuje określone cechy budownictwa wiejskiego, typowe dla danego regionu, najczęściej pochodzącego z XIX wieku, choć zdarza się, że konserwatorskiej opiece podlegają obiekty współczesne – XX-wieczne. A więc góralskie chaty z Chochołowa i tatarskie zabudowania dawnej litewskiej wsi Kruszyniany. Samotne, bieszczadzkie cerkiewki i postawiony w latach 60 naszego wieku wspaniały beskidzki kościół w Lalikach. Niektóre z nich – szczególnie rzadkie i cenne – przenosi się do skansenów, pozostałe konserwują na miejscu fachowcy z Pracowni Konserwacji Zabytków, wspomagani naukowymi badaniami specjalistów z Zakładu Patologii i Konserwacji Drewna SGGW. Wszyscy oni korzystają z preparatów chemicznych opracowywanych w Biurze Współpracy Naukowo-Technicznej ZZG „INCO"

Ale samo impregnowanie chemikaliami nie wystarcza. Bardzo szybko okazało się, że np. wyleczone, lecz samotnie stojące i „nie używane" cerkiewki po jakimś czasie znów znalazły się w opłakanym stanie. Dlaczego? Czyżby preparaty okazały się niedoskonałe? Nic podobnego! Cerkiewki zaczęły chorować, bo nie były naturalnie osuszane, wietrzone, napełniane zapachem kadzidła i świec. Przestały być używane, przestały pełnić funkcje dla jakich je postawiono. Przestały żyć...

★ ★ ★

Mając więc na uwadze tę osobliwą naturę drewna, należałoby się zatem zastanowić jaki los czeka kilka tysięcy zabytków regionalnych – ostatnie pozostałości po dawnej kulturze wsi, po starych obyczajach i ludowych obrzędach jej mieszkańców. Co należałoby zrobić, aby czterysta obiektów już przeniesionych do kilkunastu skansenów oraz te, które pozostały na swoim dawnym miejscu, nie podzieliło smutnego losu niektórych, istniejących dziś jedynie na papierze? Skoro sens ochrony zabytków architektury ludowej polega na zachowaniu ich dawnej, nie zmienionej formy, niechże więc i przywróci się naturalną funkcję chłopskim zagrodom, karczmom, wiatrakom, młynom... Myślę, że jedynie ich ożywienie, poprzez np. założenie pasieki, poprowadzenie niewielkiej hodowli drobiu czy owiec, wyrabianie barwnych szmaciaków, haftowanie czy garncarstwo mogłoby dać najlepszą gwarancję, że sztucznie utrwalony obraz dawnej, autentycznej wsi będzie maksymalnie wiarygodny i zbliżony do nie istniejącego już dziś pierwowzoru. Może ono również skutecznie ustrzec przed niebezpieczeństwem skansenu – wielkiej, wyludnionej rekwizytorni, pełnej martwych eksponatów. Eksponatów, które umierają stojąc...

TERESA MACISZEWSKA
Fot. **archiwum**

Otwarcie Sezamu

W dniu 4 marca 1975 r. dwa słowa obaliły liczący setki lat feudalizm Etiopii. Oto one: reforma rolna. Ale zanim doszło do ich wypowiedzenia, musiało w Etiopii zajść wiele zmian. Musiało dojść do rewolucji i obalenia dwieście dwudziestego piątego władcy tego kraju, cesarza Hajle Sellasje I.

We wrześniu 1974 r. Wojskowy Komitet Administracyjny ogłosił historyczną deklarację o detronizacji cesarza. W grudniu tego samego roku Komitet, w odezwie opublikowanej przez radio w ośmiu najważniejszych językach ludów etiopskich oznajmił, iż Etiopia wybiera socjalistyczną drogę rozwoju. Reforma rolna oznaczała w tym kraju nie tylko odebranie ziemi setkom ludzi, a danie jej milionom, było to również wyzwolenie całego narodu z pęt zależności i podporządkowania arystokracji feudalnej. Etiopczycy z poddanych stali się wolnymi.

Czy wszystkim się to spodobało? Oczywiście, nie. Rewolucyjna Etiopia zyskała przyjaciół, ale też i zawziętych wrogów zarówno wewnątrz kraju jak i poza jego granicami. Przyszły bardzo trudne dni, lata całe. Ruszyły do ataku siły kontrrewolucyjne, jak np. dawni feudałowie ze swymi „prywatnymi armiami", bo takie mieli prawo posiadać za cesarskich czasów, teraz wzmocnionymi o wszystkich tych, którym socjalistyczny kierunek rozwoju kraju nie odpowiadał. Zaostrzyły się walki w prowincji Erytrea, gdzie wzmocniły się siły pragnące oderwania jej od Etiopii. A wzmocniły się dzięki pomocy kilku krajów arabskich z feudalną Arabią Saudyjską na czele. Ostre konflikty wewnętrzne, które sąsiednia Somalia oceniła jako znaczne osłabienie Etiopii, zachęciły ten kraj do napaści. Z drugiej strony – północnej, groził agresją proarabski Sudan. Okazało się jednak, że rewolucyjna Etiopia nie jest słaba i że może liczyć na przyjaciół. Atak Somalii zakończył się całkowitą klęską, a w Erytrei, już w ostatnich dniach, siły rządowe odniosły znaczące sukcesy, co może prowadzić bezpośrednio do zakończenia tej trwającej od wielu, wielu lat wewnętrznej wojny.

Rewolucja etiopska mimo tych wszystkich ataków okrzepła od momentu dopełnienia się jej przed czterema laty. Obecnie nadszedł czas, kiedy nie składając broni, kraj ten może rozpocząć odbudowę i działania na rzecz rozwoju. I tak np. opracowano szeroki program kształcenia na różnym poziomie od podstawowej nauki pisania i czytania po studia uniwersyteckie. Przed rewolucją w 30-milionowej Etiopii do szkół podstawowych uczęszczało jedynie 850 tys. dzieci z 4 milionów młodych Etiopczyków od 7 do 12 lat. W tym kraju o powierzchni czterokrotnie większej od Polski, były tylko 1754 szkoły podstawowe, i to przeważnie w miastach. Obecnie zwiększono już liczbę uczniów do 1.350 tys. W tym roku na pierwszy rok studiów na Uniwersytecie w Addis Abebie i jego filiach w różnych częściach kraju, przyjęto ponad 5 tys. studentów. Jest to największa liczba w historii szkolnictwa wyższego tego kraju.

W tych dniach gościł w Polsce i w innych krajach socjalistycznych przywódca rewolucyjnej Etiopii – Mengistu Hajle Mariam. Jest to wyraz zacieśniającej się współpracy politycznej i ekonomicznej między tym wielkim krajem afrykańskim a państwami wspólnoty socjalistycznej. Polska widzi w Etiopii, przebudowującej swą strukturę społeczno-gospodarczą, partnera ekonomicznego, który nie tylko potrzebuje pomocy np. w szkoleniu kadr, organizowaniu spółdzielczości wytwórczej czy w unowocześnianiu rybołówstwa i rolnictwa, ale który jest w stanie zwiększać z roku na rok swą ofertę eksportową o takie m.in. artykuły rynkowe potrzebne nam jak bawełan, kawa i skóry.

Etiopia ma nie zbadane dotychczas bogactwa naturalne, ogromne możliwości rozwoju rolnictwa, hodowli i związanych z tym gałęzi przemysłu. Nadszedł czas, kiedy zwycięska rewolucja może zacząć wreszcie otwierać ten Sezam.

JERZY KOWALKOWSKI

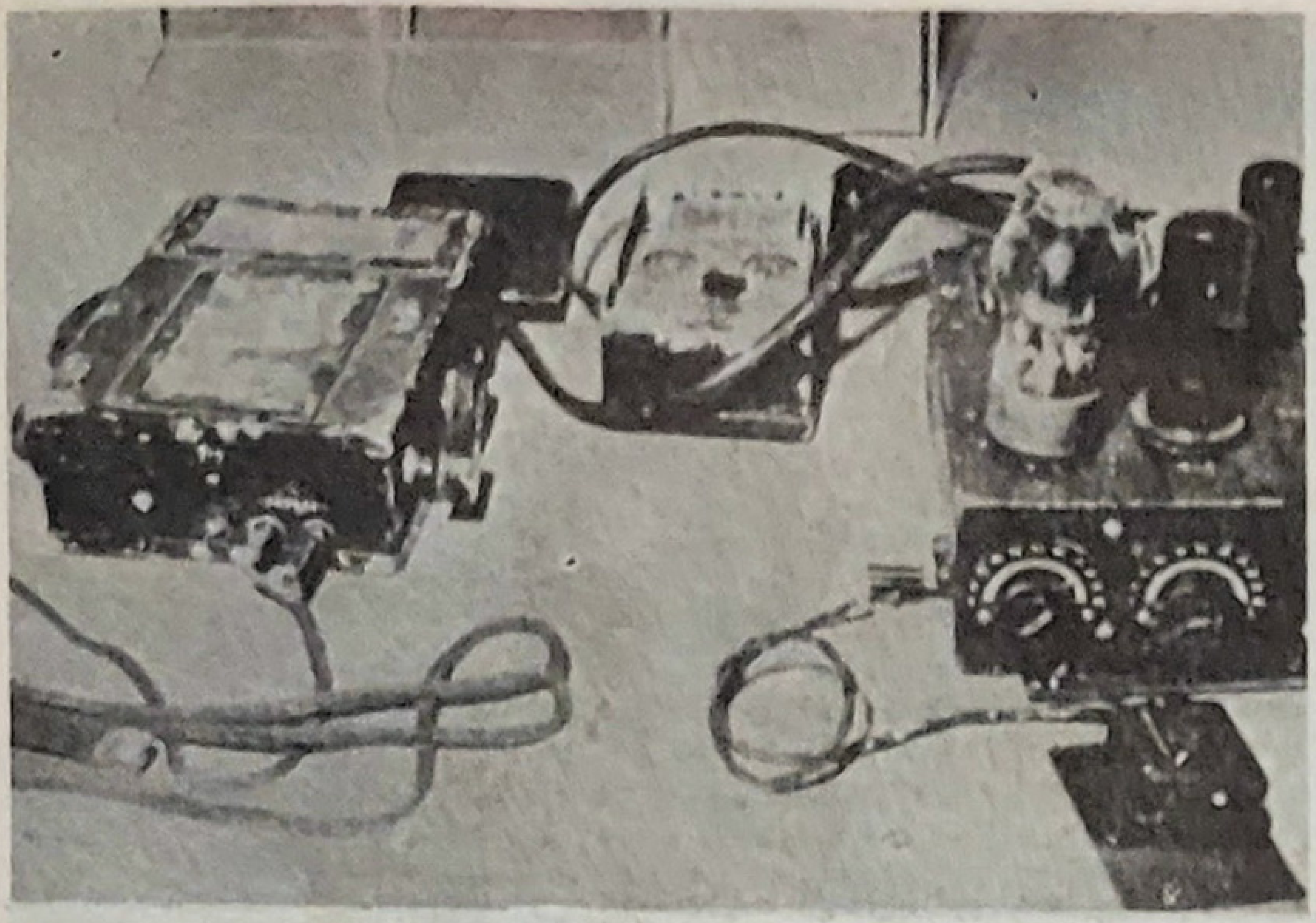

Aparat nadawczo-odbiorczy „Jack" Mieczysława Heymana (obecnie w Muzeum Historii Polskiego Ruchu Rewolucyjnego w Warszawie)

TAK TOCZYŁA SIĘ WALKA

W poprzednim numerze zamieściliśmy pierwszą część wspomnień towarzyszki Gertrudy Finderowej, opowiedzianych dla Czytelników „Świata Młodych" w 60-lecie Komunistycznej Partii Polski i 30-lecie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Dziś przedstawiamy dokończenie „kartek z dwu partyjnych życiorysów".

Zanim opowiem o naszej działalności partyjnej w sanacyjnych więzieniach, chcę przedstawić przebieg naszego aresztowania przez przedwojenną policję w nielegalnym mieszkaniu Pawła. Było to w roku 1931. Terenem ówczesnej pracy partyjnej mojego męża była wtedy Warszawa. KPP, która w Warszawie kierowała walką proletariatu, przygotowywała wówczas wielkie demonstracje bezrobotnych. W ulotkach, na masówkach partia głosiła program walki o pracę, zapomogi zimowe, bezpłatny przydział ziemniaków i opału oraz o obalenie ówczesnego rządu.

Tego wieczoru Paweł przyniósł sporo materiałów do domu: sprawozdania o sytuacji w organizacjach partyjnych i zakładach pracy, wydawnictwa partyjne. Mąż opracowywał właśnie materiały, gdy do drzwi zaczęła dobijać się policja. Wiedzieliśmy – nie mogą dostać w ręce dokumentów. Przypuszczaliśmy, że uwaga policjantów zwrócona będzie przede wszystkim na Pawła, więc błyskawicznie ustaliliśmy, że schowam materiały pod bluzkę. Zgodnie z przewidywaniami, gdy tylko mój mąż otworzył drzwi – rzucili się na niego. Ja wykorzystałam ten moment, wysunęłam się do kuchni. Natychmiast wrzuciłam papiery w ogień na palenisku. Gdy wróciłam do pokoju Paweł zorientował się od razu, że jesteśmy „czyści". Mimo wszystko zostaliśmy aresztowani. Aresztowano także wówczas wielu innych warszawskich aktywistów partyjnych. Ale demonstracje bezrobotnych w stolicy odbyły się...

NASZA EDUKACJA

Nieraz wspominają starzy rewolucjoniści, że więzienie było ich „uniwersytetem". W tym słowie nie ma przesady. Pamiętam charakterystyczny przykład z okresu, kiedy po raz drugi w latach trzydziestych zostałam aresztowana i osadzona w „Serbii" – żeńskim oddziale warszawskiego więzienia „Pawiaka". Siedziała wraz ze mną młoda robotnica – nie pamiętam już jej imienia, która nie bardzo nawet umiała czytać i pisać. Jakże zdolną była uczennicą, jak chłonęła nie tylko wiedzę o mowie ojczystej, ale także podstawy nauk politycznych. Miała wśród nas zdolne nauczycielki; otoczyłyśmy ją, jako jedną z najmłodszych, szczególną opieką. Pewnego dnia wezwano ją na jej proces. Wraca, rzuca się nam na szyje, woła: „towarzyszki, idę na wolność!" i... w bek. Myślałyśmy, że to z radości, ale ona wyjaśnia nam: „Kto mnie teraz będzie uczył?!"

Paradoks? Nie, taka była gorzka prawda owych czasów. Wielu towarzyszy, szczególnie chłopów, nie znało nawet abecadła. Zresztą także wieloletni działacze partyjni dokształcali się w więzieniach. Prowadzono wykłady i seminaria. Książki zastąpiono w zasadzie nauką ustną, ale często przemycano towarzyszom do więzień starannie pisane na maleńkich kawałkach bibułki wielostronicowe referaty o aktualnej sytuacji politycznej, streszczenia najważniejszych wiadomości prasowych, wyciągi z dzieł naukowych. Wiadomości przekazywano sobie w czasie krótkich więziennych spacerów, dyskutowano nad nimi w celach, a niekiedy nawet uciekano się do „wystukiwania" słów przez ściany specjalnym alfabetem. Opowiadali mi towarzysze, że Paweł prowadził w celach zajęcia, niekiedy dla kilku osób – z algebry, geometrii, fizyki, geografii i historii.

Moje prywatne grypsy przesyłałam mężowi skrzętnie zaszyte w czystą bieliznę, którą mu dostarczałam do więzienia. Pisane były często naszym własnym szyfrem, który dla postronnego czytelnika – np. na wypadek wsypy – oznaczał dość banalne zwykłe stwierdzenia.

U SIEBIE W BIAŁYMSTOKU

W październiku 1939 roku przybyliśmy do Białegostoku. Wiedzieliśmy bowiem, że władze hitlerowskie przejęły archiwa policyjne i więzienne, pełne materiałów o nas, polskich komunistach. Po wydostaniu się z więzień sanacyjnych uciekliśmy więc z Warszawy na tereny zajęte przez wojska radzieckie. Udało się. Mój mąż rozpoczął pracę w Komisji Planowania przy Komitecie Wykonawczym Rady Obwodowej w Białymstoku. Wkrótce został przewodniczącym tej komisji. Po raz pierwszy – po tylu latach tułaczki i więzienia byliśmy „u siebie" – mieliśmy własny pokój. Przeżywaliśmy wszystkie radości normalnego, swobodnego życia – wspólne chodziliśmy do teatru, do kina, na odczyty, bez obawy, że ktoś nas śledzi i że lada chwila skończy się nasza wolność. Dopiero wtedy poznałam dobrze Pawła jako towarzysza codziennego życia: jak każdy człowiek przeżywał on swoje radości, smutki i troski, ale nigdy swych złych nastrojów nie dawał odczuć innym. Nie wstydził się żadnej pracy domowej; gdy wracał wcześniej ode mnie z pracy, palił w piecu i przygotowywał posiłek.

Myśl o kraju, o szalejącym tam terrorze okupanta, nie opuszczała Pawła od chwili przybycia do Białegostoku. Wkrótce nasz dom stał się jednym z ośrodków, w którym skupiało się życie polskich komunistów w Białymstoku. Trójka – Paweł Finder, Alfred Lampe i Marceli Nowotko stała się jakby ich sztabem. Jedna myśl, jedno pragnienie przejmowało wszystkich: jak pomóc umęczonemu krajowi, jak włączyć się do walki o wyzwolenie ludu polskiego, jakie powinno być miejsce i rola komunistów w tej walce.

Potem hitlerowcy napadli na ZSRR. W Moskwie skupiła się grupa czołowego aktywu polskich komunistów, wśród nich Paweł Finder i Marceli Nowotko. Zadanie stanęło przed nimi jasne: przedostać się przez front do Ojczyzny, by odbudować partię i pokierować walką o niepodległą ludową Polskę.

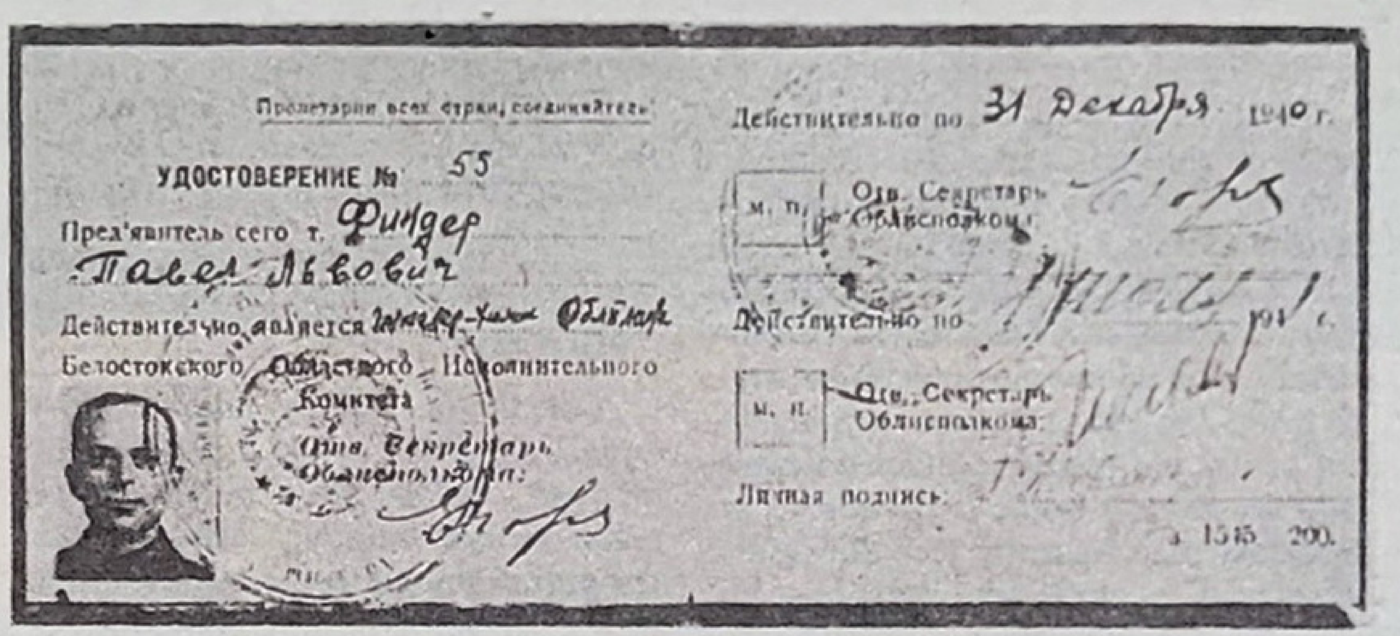

Пролетарии всех стран, соединяйтесь!
УДОСТОВЕРЕНИЕ № 55
Предъявитель сего т. Финдер Павел Львович
Действительно является [illegible] Облпл[illegible]
Белостокского Областного Исполнительного Комитета
Отв. Секретарь Облисполкома:
Действительно по 31 Декабря 1940 г.
м. п. Отв. Секретарь Облисполкома:
Действительно по ... 194 г.
м. п. Отв. Секретарь Облисполкома:
Личная подпись:
1545 200.

Legitymacja pracownicza Pawła Findera wydana przez Białostocki Obwodowy Komitet Wykonawczy

DLA POLSKI SOCJALISTYCZNEJ

28 grudnia 1941 roku radziecki samolot wiozący sześcioosobową grupę znalazł się nad rejonem Wiązowny, na południowy wschód od Warszawy. Pierwszy skoczył Paweł Finder...

Dalszy ciąg znacie z podręczników historii, książek, filmów. Piątego stycznia 1942 r. powstała w okupowanej Warszawie Polska Partia Robotnicza. Ten ostatni okres życia i działalności mego męża znam już tylko z opowiadań towarzyszy jego walki. Trudno mi o tym mówić, bo jeszcze dziś ból ściska za gardło...

Pomówmy więc chwilę o dniu dzisiejszym. Popatrzcie: w Aleksandrowicach, które za „naszych czasów" były wsią podbielską, wyrosło dziś wielkie, piękne osiedle mieszkaniowe; to prawie centrum Bielska. A i samo Bielsko też nie takie jak dawniej – to znaczący ośrodek w polskim przemyśle motoryzacyjnym, produkty jego zakładów widać dziś na każdej naszej ulicy. Tak jest z wieloma dawnymi miasteczkami, z setkami dawnych zapadłych wsi.

Cieszę się, że Bielska Chorągiew ZHP przyjęła imię Pawła Findera. Harcerkom i harcerzom z tej chorągwi życzę, by uczyli się tak, jak Paweł Finder, by starali się stawiać ponad własne sprawy dobro i pomyślność Ojczyzny.

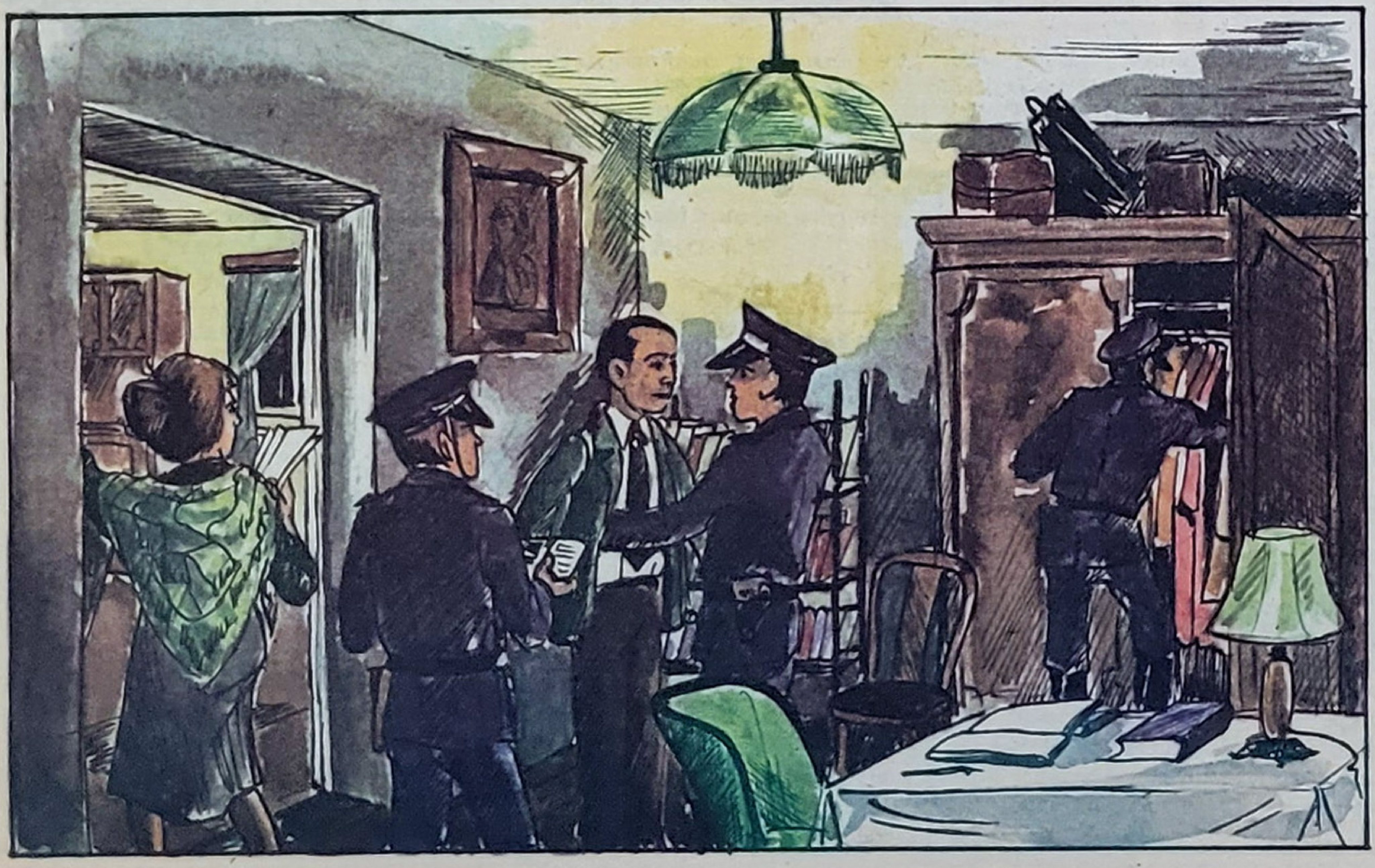

Rozmawiał JAN STYKOWSKI
Rys. **S. Paweł**
Fot. **archiwum**

CZY MIAŁ PRAWO?

We wrześniu Marek powiedział, że rezygnuje z funkcji drużynowego. To było dla wszystkich zaskoczenie. Jak to rezygnuje? On? Nie, to niemożliwe. Taki harcerz! Zapaleniec! I rezygnuje! On, który kiedyś mówił, że tylko człowiek słaby, bez charakteru, może wycofać się, złamać raz dane słowo.

Wydaje mu się, że harcerzem był od zawsze. Jeszcze nie chodził do szkoły, a już jeździł na harcerskie obozy. Zabierał go ze sobą wujek. Potem, kiedy został już zuchem, potrafił sprawniej od swoich kolegów rozbić namiot, śledzić nie szukał u szefa kuchni i nie narzekał, kiedy przypaliła się kawa.

Miał fajnych rodziców, którzy pozwalali mu zawsze jeździć na obozy, rajdy, złoty. Zastępowym został zaraz po złożeniu przyrzeczenia harcerskiego. Wszędzie go było pełno. Żadna impreza nie mogła odbyć się bez Marka. Biegał, załatwił, naprawił „krzywe" sytuacje. Miał dar zjednywania ludzi. Niski, szczupły. Przezywali go „chucherkiem", ale on się tym nie przejmował. Drobiazg. Ma ważniejsze sprawy na głowie.

A potem poszedł do technikum mechanicznego. A jeszcze przedtem, w czasie wakacji, pojechał na kurs drużynowych. Od września zabrał się solidnie za pracę. Było ciężko. Jeszcze teraz kręci głową, gdy tylko o tym wspomina. Tak się złożyło, że chociaż w szkole dziewczyn nie brakowało, w jego klasie byli sami chłopcy. Woleli piłkę kopać niż przyjść na zbiórkę. Marek wiedział, że potrzeba czasu, aby przekonali się, że w drużynie człowiek wcale nie musi się nudzić.

W każdą niedzielę organizował rajd. Na pierwszy przyszło osiem osób. Pojechali do lasu, do znajomego Marka. Był leśnikiem, dopiero co po studiach. Opowiadał bardzo interesujące historie i pozwolił na ognisko z pieczeniem kartofli. Innym razem odwiedzili okoliczne gospodarstwa. Szukali staroci, różnych ciekawych rzeczy.

Największy kłopot sprawiał im brak odpowiedniego pomieszczenia na zbiórki. Niby mieli do dyspozycji wszystkie szkolne gabinety, bo dyrektor podobno był za harcerstwem i młodzieży przeszkód nie robił, ale Marek się uparł. Musimy mieć swój kąt. I znalazł. Blisko kotłowni, taką małą skrytkę, brudną, pełną pajęczyn. Nie jest tak źle – mówił chłopakom. Przede wszystkim wybielili ściany wapnem i nakleili masę plakatów. Przeważnie harcerskich, ale znalazła się i ABBA, i SWEET.

Bogdan przyniósł modele samolotów, które sam sklejał od dwóch lat. Zrobili kominek z prawdziwych cegieł. Murowali go dwa popołudnia. Sam komendant przyszedł zobaczyć jak się zagospodarowali. Leśniczy dał im kilka pniaków, trochę drzewa. Pozbijali półki, znaleźli śmieszne powykręcane korzenie. Przynosili gitary. Siadali, rozmawiali. Czasami do późnego wieczora. Częściej o sprawach w Chinach, Wietnamie niż o przestrzeganiu prawa harcerskiego. Komendant miał im to za złe. Chociaż z drugiej strony nie mógł zaprzeczyć, że była to najlepsza drużyna w całym szczepie. Można było na nich polegać. Kiedy coś przyrzekli, wiadomo było, że wykonają. Nie uznawali pracy „takiej sobie". Wszystko musiało być zrobione na poziomie, solidnie. Marek nie znosił cwaniactwa i nauczył chłopaków, że liczy się tylko praca wykonana dobrze i uczciwie. Przyznaje, że początkowo mieli z jego drużyną sporo kłopotów. Zarzucali komendantowi, że boi się wyjść poza harcerstwo. A czym było dla nich to „dalsze" – komendant nie wiedział. Podejrzewał, że nawet sami chłopcy nie wiedzieli.

Nigdy nie zabraniał im eksperymentować. Nie chciał tylko, aby Marek zrobił z drużyny paczkę zwariowanych intelektualistów i z prawdziwego harcerza – sobka. Nie bardzo pasują do harcówki plakaty zespołów. I te ich nagrania... Ale nie mieszał się do nich. Wiedział, że na zbiórkach nie czytają prasy harcerskiej i nie dyskutują na temat: alkoholizm chorobą społeczną. Kiedyś zaprosili go na jeden wieczór poświęcony problemom Afryki. Innym razem uczestniczył w zażartej dyskusji dotyczącej obecnej sytuacji Indian. Denerwuje go trochę, że naznosili nie wiadomo skąd i nie wiadomo po co modele samolotów, na które już i tak nie ma miejsca w za ciasnym pomieszczeniu. Podziwia ich solidarność. Raz Robert sporo narozrabiał i prawdo mu

CIĄG DALSZY NA STR. 4

CZY MIAŁ PRAWO?

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

wyrzucenie ze szkoły. Nie wiadomo jak zakończyłaby się cała sprawa, gdyby nie pomoc drużyny. Marek na zebraniu przedstawicieli młodzieży z gronem pedagogicznym nie dał odebrać sobie głosu. Udało mu się przekonać wszystkich, że Robert powinien zostać. Nie skończyło się wyłącznie na przekonaniu. Drużyna zajęła się chłopakiem, potrafili wpłynąć na Roberta.

Marek przyczynił się do załatwienia zimowiska w Sobieszowie. Nawiązał kontakt z drużyną z jednej z tamtejszych szkół. Na zimowisko pojechało 40 osób, w tym sześciu chłopaków z Domu Dziecka. To też był pomysł drużyny Marka. Nie wstydzili się przyjaźnić z nimi. Zapraszali ich często do harcówki, razem organizowali biegi patrolowe, rajdy... Niektórzy profesorzy z niechęcią patrzyli na taką zażyłą znajomość. Bali się, że coś może zginąć, bo z takimi to nigdy nic nie wiadomo. Jednak nie zginęło i nie mogli zabronić im wyjazdu do Sobieszowa.

MAREK

– Długo zastanawiałem się jak postąpić. Niełatwo jest mi zrezygnować. Wiem, że dzięki harcerstwu zrozumiałem, co jestem naprawdę wart. Poza szarym mundurem nic dla mnie nie istniało. Do domu przychodziłem praktycznie tylko spać. Nawet obiady jadałem w szkolnej stołówce.

Wcale się nie skarżę. Mogłem inaczej rozplanować sobie pracę, mogłem na wiele spraw machnąć ręką. Bo w sumie co mnie obchodzi, że nie ma harcówki, że ktoś starszy potrzebuje pomocy, że trzeba zorganizować bieg patrolowy dla całego szczepu? Mogłem powiedzieć: niech robi to ktoś inny. Nie potrafię tak. Zwyczajnie, to nie w moim stylu. Jak już coś zacznę, to lubię doprowadzić do końca no i wykonać solidnie. Jak mam przez niedbalstwo popsuć swoją czy cudzą pracę to wolę palcem nie kiwnąć.

Wydawałoby się, że jako drużynowy mogę wiele zrobić. Wciągnąłem chłopców w nasze wieczory, ale to nieprawda, że rozmawiamy wyłącznie o polityce. Byliśmy przede wszystkim harcerzami. Świadczy o tym chociażby fakt, że na podsumowaniu akcji letniej zajęliśmy drugie miejsce. Nie wyobrażałem sobie, że powiem kiedyś stop, zatrzymaj się!

Z Basią znałem się od trzech lat. Lubiłem ją zawsze, a niedawno zrozumiałem, że jest mi bardzo bliska. W wakacje spotykaliśmy się często. Znowu wróciłem do szkoły i trzeba wszystko zaczynać od początku. Druga klasa technikum. Drugi rok pracy z drużyną. Z Basią kontaktu nie zerwałem. Nagle zrozumiałem, że coś się psuje. Miałem z chłopakami iść na rajd, a tu Basia dzwoni i mówi, że koniecznie musi się ze mną spotkać. Nadal dużo czasu spędzam w harcówce, ale to już nie to. Po prostu nie mogę dłużej oszukiwać siebie i innych. Już nie jestem tym chłopcem, który rok temu z błyszczącymi oczyma prowadził ich wąską, leśną dróżką do domu leśniczego. Nie chcę dłużej udawać. Nie ma sensu z Baśki, ze mnie i drużyny robić błędnego trójkąta. Czy można mieć mi za złe, że marzę o pójściu z dziewczyną do kina, na spacer? Wybrałem Basię, ale nie rezygnuję zupełnie z harcerstwa. Nie mogę tylko być już drużynowym. Dosyć mam już pracy społecznej, ciągłej bieganiny, załatwiania spraw w komendzie hufca. Uważam, że powinienem odejść teraz, kiedy mam jeszcze opinię dobrego organizatora. Czuję, że w tym roku nie sprawdziłbym się. Zabrakłoby mi sił. Mógłbym zostać, ale nie byłbym dobrym drużynowym. Raczej takim, który wypełnia tylko książkę drużyny zupełnie nie przejmując się czy jest w niej chociaż odrobina prawdy.

Marek postawił na swoim. Chłopcy wybrali już nowego drużynowego. Nadal urządzają wspólne wieczory w harcówce, która po wakacjach wzbogaciła się o wiele ciekawych eksponatów. Nadal chodzą na rajdy... Marek też przychodzi na zbiórki, zabiera głos, przekonuje... Wyczuwa się jednak, że dawną przyjazną atmosfera nie wróci. Niby nic się nie zmieniło, a jednak... czują się oszukani. To prawda, że świetnie nadal dają sobie radę. Mimo to zarzucają mu, że nie wolno tak odejść. Przecież to Marek wciągnął ich do harcerstwa, pokazał, że można żyć ciekawiej i nie bać się przygody. Czy miał prawo rezygnować?

ANNA ŻYTKA

Symbolika wymowy historii cesarskiego słowika uwidacznia się nawet w kostiumach. Prostota strojów ludu zestawiona z pompatycznymi, przeładowanymi szatami dworaków i maskami, które przesłaniają ich twarze – wywołuje efekt nie tylko komiczny

W poszukiwaniu drogi do własnego teatru

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Pierwszy sygnał

Przed południem na moim redakcyjnym biurku zadzwonił telefon: „Mówię z teatru „Lalka" – mamy poważny kłopot. Aktualnie wystawiamy przedstawienie pt. „Słowik" Ernesta Brylla. Zrobiliśmy je z myślą o młodzieży, a na widownię przychodzą małe dzieci, do których tekst i przesłanie tej sztuki **nie może** w pełni dotrzeć! Nie wystarczył dopisek na afiszu, że spektakl przeznaczony jest dla dzieci starszych i młodzieży. Wskażcie im drogę do naszego teatru, napiszcie, że czekamy!"

Na to dramatyczne wezwanie wysłaliśmy zwiad do teatru. I rzeczywiście. Na widowni szeleszczące papierkami od cukierków i gadające maluchy. A na scenie poetycka, uwspółcześniona wersja Andersenowskiego „Słowika cesarza", utworu wielowarstwowego, o wymowie ogólnoludzkiej. Nie byle jacy fachowcy starannie przygotowali tę sztukę. **Ernest Bryll** jest autorem scenicznej adaptacji utworu. Świetna scenografia **Adama Kiliana**, malownicze w swych barwach kostiumy aktorów, piękna muzyka **Bogumiła Pasternaka** i taneczne ewolucje wykonawców musiały działać na wyobraźnię nawet najmłodszych widzów. Ale piękne i mądre zdania padające ze scenicznego podium trafiały w próżnię. Przedstawienie dociera do widzów jedynie w jednej trzeciej; tylko w warstwie gagów, dowcipów i kolorów. Szkoda!

Nastolatki czekają...

POGLĄD I

„W zasadzie nie ma teatrów dziecięco-młodzieżowych. Są teatrzyki dla dzieci, w których zabawia się dzieci bajkami, ale teatrów dla młodzieży naprawdę nie ma. Są tylko spektakle związane z lekturą szkolną. Według mnie powinny być teatry, w których poruszałoby się zagadnienia interesujące młodzież, np. kosmos. O kosmosie mogą być piękne przedstawienia."

Włodzimierz Kustra, kl. VIII

POGLĄD II

„Chciałbym, aby w teatrze, który lubię były grane sztuki o przygodach różnych postaci. Role byłyby grane przez dobrych młodych aktorów, którzy potrafiliby się w nie odpowiednio wczuć. Chciałbym, żeby przygody następowały niespodziewanie i były zaskakujące dla widza. Nie powinny być oklepane. Chciałbym, aby nie było to tylko przewracanie się i nabijanie guzów, lecz by dawały do myślenia o charakterach głównych postaci, a także zawierały morały i sentencje..."

Paweł Krepiniewicz, kl. VIII

POGLĄD III

„Myślę, że repertuar dla młodzieży przygotowałbym nieco inny, niż ten, który możemy oglądać obecnie. Przede wszystkim role młodych ludzi grałyby naprawdę nastolatki, oczywiście odpowiednio przygotowane. Młodzi ludzie graliby po prostu samych siebie, sceny z życia szkolnego i domowego zaprawione pewną dozą fantazji. Wystawiałbym też sztuki o innych tematach, wśród których przeważałyby komedie, gdyż z doświadczenia wiem jak bardzo współczesna młodzież lubi i potrzebuje śmiechu..."

Paweł Duchnowski, kl. VII

Są to fragmenty wypowiedzi uczniów, jakie przeczytałam w programie „Snu nocy letniej" Williama Szekspira, wystawianego w Teatrze Ochoty. To już konkretne postulaty i propozycje, które od Was samych wychodzą. Czy słuszne?

Odpowiedzią na ostatni postulat w pewnym sensie jest sam spektakl „Snu nocy letniej". Reżyserzy – Halina i Czesław Machulscy szósty już rok pracują z młodzieżą Ogniska Teatralnego, jakie stworzyli przy swoim teatrze. Młodzież prowadzona przez aktorów-instruktorów uczy się kultury mowy, ruchu scenicznego, pantomimy, interpretacji tekstów – poznaje teatr od strony sceny i kulis. W „Śnie nocy letniej" państwo Machulscy oddali scenę do dyspozycji swojej młodzieży. W odczuciu zespołu Teatru Ochoty jest to eksperyment. Młoda widownia natomiast uznała przedsięwzięcie za udane. Bawią się bowiem i aktorzy, i widzowie.

* * *

Jak widać, różne drogi mogą prowadzić do teatru dla nastolatków, ale teatry lalkowe i te „dorosłe", powinny częściej chyba niż dotąd przypominać sobie o istnieniu tej ogromnej widowni. Z drugiej strony kłopoty z publicznością przedstawienia „Słowik" świadczą o tym, że zbyt mała ilość tego rodzaju spektakli – to tylko jedna strona medalu. Czasem widz po prostu nie wie, co traci. I w tym kontekście, chociaż szczerze życzyliśmy Teatrowi Młodych własnego lokalu, sądzimy, że nie pójdzie na marne okres jego tułaczki po gościnnych scenach innych teatrów. Może to nauczyć widza nie chodzenia do konkretnego przybytku sztuki, ale tropienia spektakli, na których mu zależy i oglądania ich bez względu na to czy wystawiane są na Dużych Scenach czy u „maluchów".

EWA BIELSKA
Fot. **J. Łopuszyński**

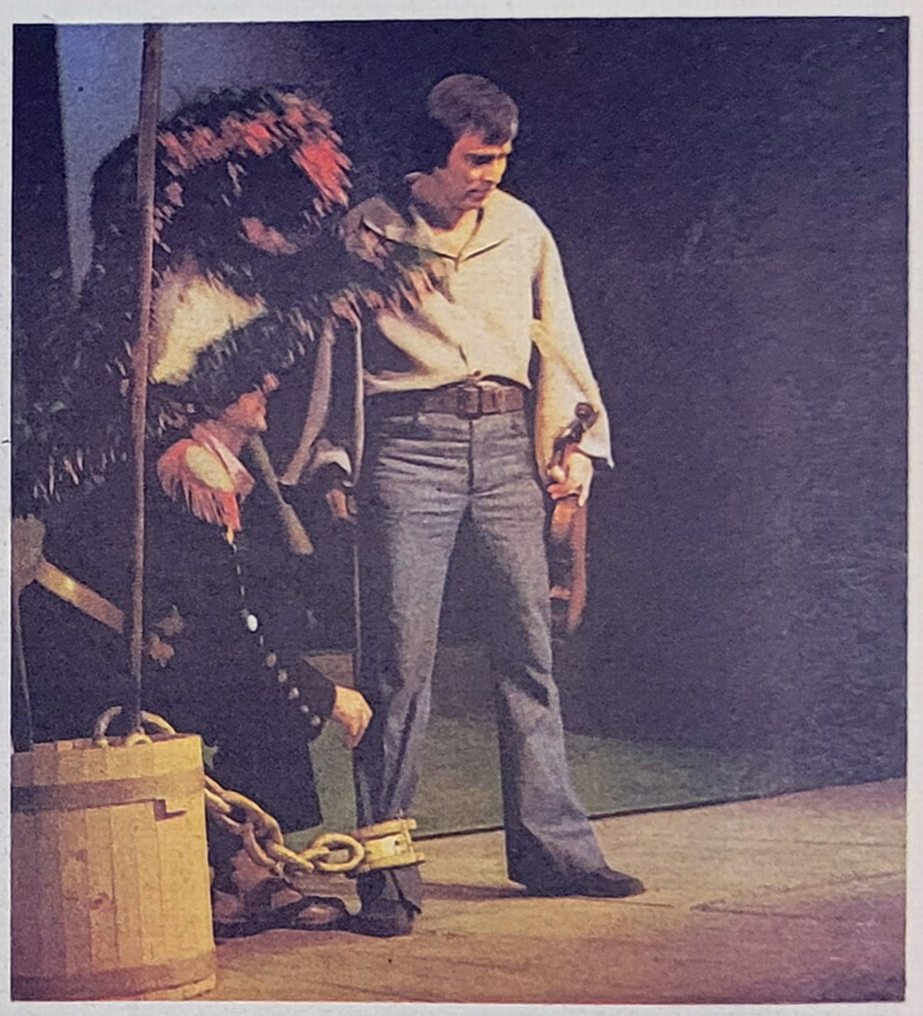

Wykopano buk znad brzegu strumienia i posadzono na cesarskim dworze. Ale nawet słowicza pieśń w niewoli brzmi smętnie

Jak zapomnieć o samotności?

Kilka miesięcy temu przeżywałem kryzys. Czułem się samotny, byłem rozdrażniony byle czym i „rozklejałem" się przy byle okazji. Od niedawna postanowiłem pogłębiać swoje zainteresowania; zacząłem interesować się biologią, sportem, językiem niemieckim, angielskim, fotografią i muzyką (nie tylko młodzieżową). Dzięki temu znalazłem wspólny temat z wieloma kolegami z naszej szkoły i nie mam już czasu na samotność. Sam nie wiem, kiedy przestałem odczuwać ten dziwny stan. Najlepiej jest przestać rozmyślać o swojej samotności. Wtedy na pewno o niej się zapomni.

Mały Dżek

Bardzo zależy mi na zawarciu przyjaźni z koleżankami i kolegami piszącymi do „Redakcyjnej Poczty". Proszę o listy. Barbara Chochół, ul. Zawadzkiego 5/9, 32-300 Olkusz.

Nos to nie wszystko

Droga Beato, piszę w sprawie Twojego listu zatytułowanego „Nos". Jestem w podobnej sytuacji; mój nos jest równie brzydki, lecz wcale nie myślę o operacji plastycznej. Mnie koledzy też docinali. Podeszłam jednak do tej sprawy z poczuciem humoru i uśmiechem. Koledzy przestali się naśmiewać, odkryli we mnie inne walory, przede wszystkim uśmiech. Ty na pewno też posiadasz jakieś zalety, spróbuj na nie zwrócić uwagę otoczenia. Może grasz na jakimś instrumencie lub masz dobre wyniki w sporcie. Pokaż, co potrafisz, niech zobaczą Ciebie całą, a nie tylko Twój nos. A w ogóle, to proponuję założyć klub „innych" nosów, aby Beata dowiedziała się, że nie tylko ona ma taką wadę i uświadomiła sobie, że inni dali sobie jednak z tym radę.

A.S.

Wandalizm

Jestem mieszkanką Sopotu, miejscowości wypoczynkowej, do której co roku w lecie przyjeżdżają goście zagraniczni i krajowi. Wiele ludzi, w tym sporo młodzieży, stara się, aby miasto było piękne. Sadzi się więc kwiaty i młode drzewka. Często bywa tak, że zanim drzewka urosną znajdzie się grupka wandali, która złamie co drugie. Na ul. Kościuszki takie zjawisko powtórzyło się już kilka razy z rzędu. Dbamy o to, żeby było jak najpiękniej, a grupa grasujących wandali psuje naszą pracę!

Ewa z Sopotu

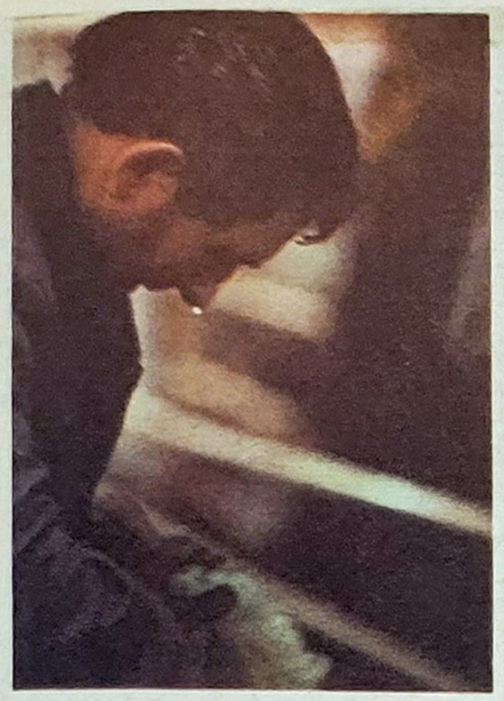

NASTĘPNA, PROSZĘ DO STRZYŻENIA!

W ile kilogramów wełny ubrana jest owca? Jak długo trwa zdejmowanie tego nakrycia? Kto może zostać specjalistą od strzyżenia owiec?

Na te i podobne pytania odpowiedział szósty krajowy konkurs strzyżenia owiec w Drzonkowie w województwie zielonogórskim. 46 zawodników reprezentujących niemal wszystkie regiony Polski stanęło do walki, w której liczyła się nie tylko szybkość działania – także delikatność w obchodzeniu się z odzianymi w futra klientami. Słowem – wprawna ręka godna mistrzowskiego lauru.

Zadaniem każdego zawodnika było ostrzyżenie w ciągu 30 minut 10 owiec. Sprzęt: mechaniczna maszynka do złudzenia przypominająca te znane ze zwykłych zakładów fryzjerskich. Jak sobie „owczy fryzjerzy" radzili – zobaczcie sami. Zadanie nie było łatwe, wełna jednej owcy waży przeciętnie 4,5 kg!

Fotoreportaż MARKA SZYMAŃSKIEGO

5 MINUT Z ANKĄ

Nastrój świąteczny już całkiem więc ja – o prezentach. W ogóle, to sprawa skądinąd raczej radosna, ale dla mnie w tej chwili – dręcząca. Z powodu paru znaków zapytania. Jak zwykle pojęcia nie mam, co podarować tacie, spore wątpliwości mam jeśli chodzi o obdarowanie mamy, ale to małe piwo w porównaniu ze sprawą Michała. Bo tutaj to przede wszystkim kwestia jest iście hamletowska: Być albo nie być? A właściwie – dawać gwiazdkowy prezent Michałowi czy nie dawać?

Prawdę mówiąc, to... chciałabym mu coś podarować. Ale boję się, żeby nie pomyślał, że to z mojej strony... No, żeby nie było głupio, żeby nie wyglądało, że się narzucam. Oh, z Ulką takich problemów nie mam – rzecz jasna jest jak słońce, ale inaczej to wygląda gdy człowiek jest jakimś chłopakiem... – powiedzmy – zainteresowany. Bo jeśli Michał się zdziwi – może się zdziwić, no nie?! – to ja się chyba pod ziemię zapadnę ze wstydu. Niby więc mogłabym zrezygnować i darować sobie gwiazdkowanie, ale to może wypaść jeszcze durniej. Bo jeśli Michał przygotuje jakiś prezent dla mnie, a ja nie będę miała prezentu dla niego, to wyjdę na gęś, której nie zależy. A to przecież nieprawda. I co?! Nie wiem. Najlepiej chyba będzie przygotować coś bardzo malutkiego i trzymać to-to w kieszeni. I zobaczyć, jak się sytuacja rozwinie. Niby to wyjście i najlepsze z możliwych jest, ale żal mi będzie okrutnie jeśli to coś zostać by miało w mojej kieszeni za zawsze. Szkoda, że nie można czytać w czyichś myślach. Popatrzyłabym na Michała i wiedziałabym, co zrobić. A tak – łamię się. I bez przerwy zmieniam swoją decyzję.

W końcu najprawdopodobniej zostanę przy tym ostatnim wyjściu, choć przekonana nie jestem. To będzie maskotka. Piesek albo kotek. Najmniejszy z tych, co można dostać. I też mam dylemat. Czy chłopak może być zadowolony z maskotki?! A jeśli nie maskotka, to co może być innego?! Pewnie, mogłaby być płyta albo książka, nawet wiem jaka, ale tego nie da się niestety ukryć w kieszeni.

A może nie ukrywać w kieszeni?! W końcu przecież swój rozum jakiś tam mam i w gruncie rzeczy nic zdrożnego w prezencie dla Michała nie widzę. No bo co niby może być w odruchu sympatii zdrożnego?! Nic. Przynajmniej dla mnie. Hm, ja wiem, że ja bym się ucieszyła gdyby Michał mi taką malutką maskotkę podarował. Nie wiem tylko czy on o tym wie. I w tym cały kłopot.

Śmieszny kłopot?! Możliwe, ale nie dla mnie. Może zresztą to ja jestem śmieszna?!...

ANKA

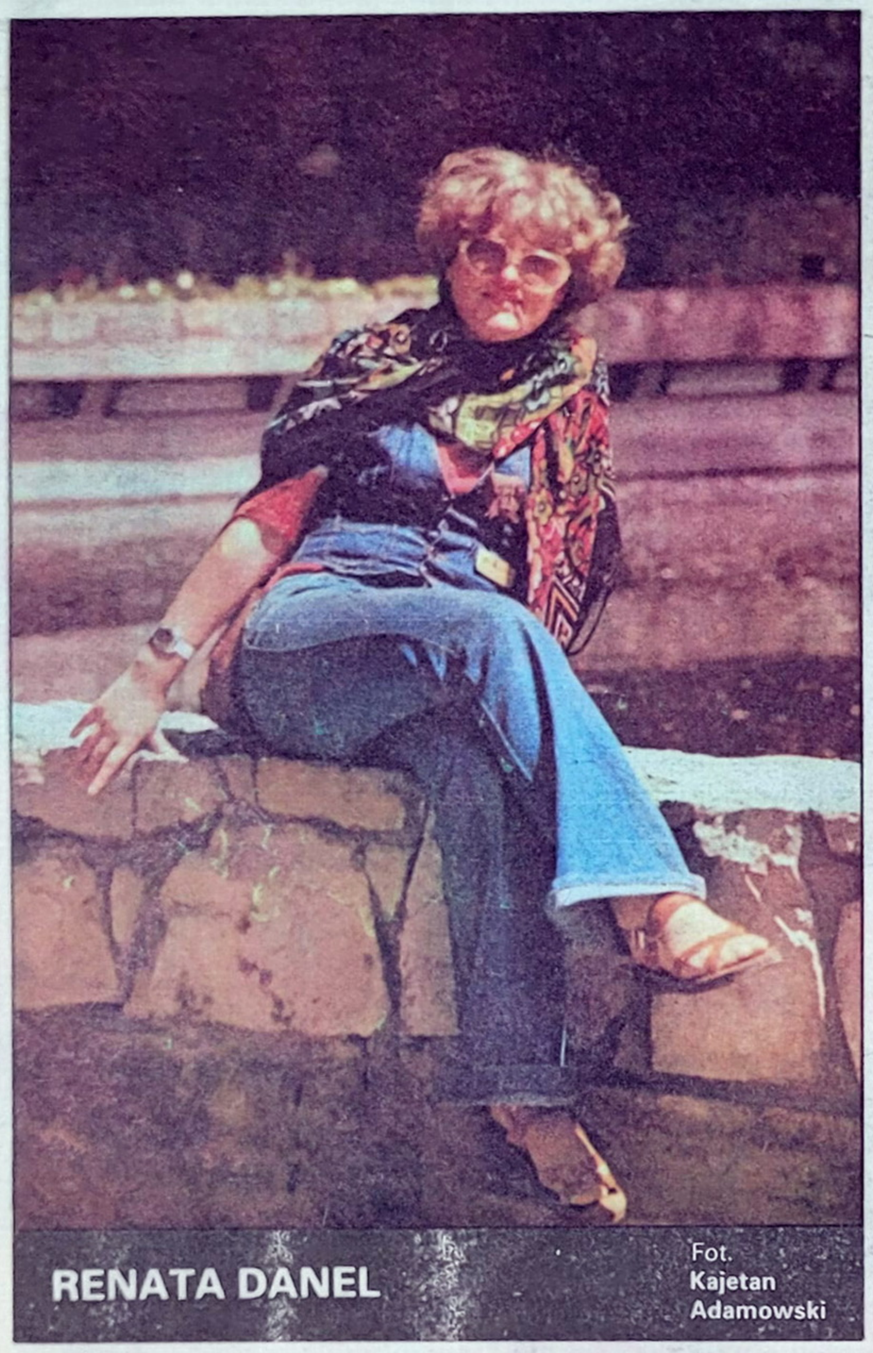

RENATA DANEL

Fot. Kajetan Adamowski

Świat Muzyki

GAZETA MELOMANÓW

Redaguje LECH NOWICKI

KONKURS „STUDIA MŁODYCH"

Roztrzygnięto Radiowy Konkurs „Studia Młodych" na Piosenkę dla Młodzieży. Jury pod przewodnictwem Andrzeja Jaroszewskiego oceniało jedenaście nagranych piosenek, spośród 44 zgłoszonych do konkursu. Za najlepszą uznało piosenkę Krystyny Kwiatkowskiej-Marczyk (muzyka) i Krzysztofa Zuchory (słowa) pt. „Na przekór pogodzie" w wykonaniu Renaty Danel. Drugiej nagrody nie przyznano. Dwie równorzędne trzecie otrzymali: Andrzej Krupiński (muzyka) i Marek Dagnan (słowa) za piosenkę „Może w maju, może w grudniu" oraz Krystyna Kwiatkowska-Marczyk (muzyka) i Anna Bernat (słowa) za piosenkę „Tu dobrze mi". Pierwszą z nich nagrał zespół Homo-Homini, drugą Andrzej Ellman z grupą Fart. Nagrodzono także aranżerów: Andrzeja Krupińskiego („Może w maju, może w grudniu"), Jacka Malinowskiego („Na przekór pogodzie") i Janusza Piątkowskiego („Tu dobrze mi"). Specjalną nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki za najlepsze wykonanie piosenki otrzymała Renata Danel. Piosenki: „Tu dobrze mi" i „Na przekór pogodzie" znajdą się na singlu Tonpressu. Organizatorami konkursu byli: „Studio Młodych" Polskiego Radia, Ministerstwo Kultury i Sztuki, Ministerstwo Oświaty i Wychowania, i Główna Kwatera ZHP.

I NAGRODA W RADIOWYM KONKURSIE „STUDIA MŁODYCH" NA PIOSENKĘ DLA MŁODZIEŻY

NA PRZEKÓR POGODZIE

Muzyka: Krystyna Kwiatkowska-Marczyk

Słowa: Krzysztof Zuchora

Śpiewa: Renata Danel

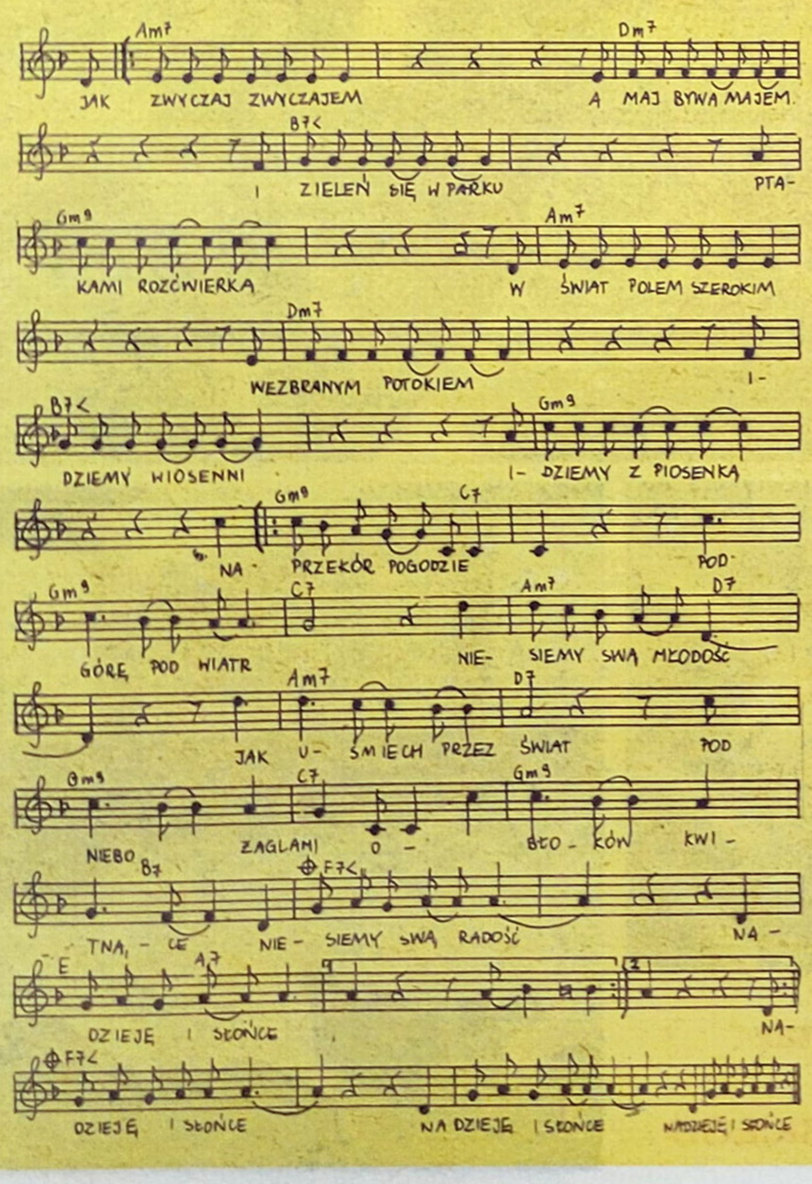

Jak zwyczaj zwyczajem
a maj bywa majem
i zieleń się w parku
ptakami rozćwierka
w świat polem szerokim
wezbranym potokiem
idziemy wiosenni
idziemy z piosenką

Na przekór pogodzie
pod górę pod wiatr
niesiemy swą młodość
jak uśmiech przez świat
pod niebo żaglami
obłoków kwitnące
niesiemy swą radość
nadzieję i słońce

W przyjaźni z przygodą
beztrosko jak młodość
choć krzykiem w oddali
zanosi się burza
przez leśne rozstaje
jak maj bywa majem
idziemy wiosenni
idziemy z piosenką

Na przekór pogodzie
pod górę pod wiatr
niesiemy swą młodość
jak uśmiech przez świat
pod niebo żaglami
obłoków kwitnące
niesiemy swą radość
nadzieję i słońce.

Rozmawiamy z KRZYSZTOFEM ZUCHORĄ – poetą i sportowcem

– Czym dla Ciebie jest ta nagroda?

– Wyprawą po złote runo jest każdy konkurs. Ewentualny sukces jest w równej mierze efektem starań, co i przypadku, zbiegu okoliczności. Jest grą, w której ktoś wcześniej – przed innymi – osiąga metę. W następnym biegu trzeba zaczynać od nowa. Choć nie od początku. Coś bowiem zostaje. Nagroda jest czymś, co ośmiela i przydaje blasku pracy.

– Jak pisaliście tę piosenkę? Kto rzucił pomysł, kto go zrealizował: czy najpierw powstał tekst, czy muzyka?

– Pierwszy był tekst. „Wychodziłem" go po prostu. Kiedyś – nie wiem już kiedy, ani jak to było – spotkały się te słowa dwa: „na przekór pogodzie", a potem dołączyły do nich inne. Dalszy ciąg jest kwestią dojrzałości i czegoś, co bym nazwał – pokorą wobec słowa. Piosenka jest drobnym utworem i każdy zgrzyt, fałsz, zadraśnięcie, pośpiech są widoczne jak pod lupą. Pomysł ja rzuciłem, ale zrealizowała go Krystyna. Muzyka jest tutaj wartością naddaną, co trafnie wydobyła pani Renata Danel, a umiejętnie podkreślił aranżer. Ten drobny utwór jest efektem zespołowego działania.

– Tytułowa „pogoda" nie jest chyba głównym bohaterem Twoich piosenek? Jakie tematy zajmują Cię szczególnie?

– Przekora każe mi odpowiedzieć: Tak, tematem moich piosenek jest „pogoda". Nastrój, klimat wewnętrzny, nagłe burze i równie nagłe wyciszenia usiłuję ocenić w wierszu lub piosence. Czasem jest to fragment rozmowy z kimś bliskim, czasem – z kimś nieznanym. Piosenka na teraz, na chwilę, a niekiedy na zawsze. Jakże to wiele. Przypomina mi się zdanie Jana Parandowskiego, który pisał, że z niedocenionego i pogardliwie przyjmowanego przez współczesnych wysiłku rzemieślników-artystów ozdabiających greckie wazy uczymy się dzisiaj prawdy o tamtych czasach. Piosenka jest opowieścią o nas.

– Masz na swoim koncie trzy tomiki wierszy, a utarło się mniemanie, że ktoś, kto pisze wiersze, piosenki traktuje po macoszemu...?

– Moje odczucia są inne. Jestem raczej zdania, że praca twórcza – obojętnie na jakim froncie i w jakim zakresie – jest zobowiązaniem społecznym. Ważnym i odpowiedzialnym. Nie ma w niej – nie powinno być – miejsca na łatwiznę i chałturę. Dla Gałczyńskiego, Tuwima, Grochowiaka czy Brylla granica między wierszem a piosenką jest granicą pozorną. I tu i tu wszechwładnie panuje poezja. Wiem, że piosenka rządzi się własnymi prawami i że nie można ich lekceważyć. Granicę dzielącą ją od wierszy ja nazwałbym „granicą naturalną" – biegnącą wzdłuż rzeki, brzegu morskiego czy też grzbietem górskim. Jest to granica zmienna, jak zmienna jest sztuka.

– Oglądaliśmy Cię w programie telewizyjnym, w którym pokazałeś, że potrafisz napisać wiersz „od ręki", na poczekaniu. Oto temat – „muzyka". Notuję:

– Zaskoczenie nie jest sprzymierzeńcem nastroju. Najpierw muszę rozbić natarczywy – choć piękny – stereotyp. Pamiętasz: „muzyka tkliwa dynamika..." No, niech tam. Zaczynam:

rozsypała się muzyka
wiatr liście trąca
jak struny skrzypiec
zima przez park idzie
nuty pod stopy rzuca
śniegiem sypie
samotna bezdomna
muzyka się błąka
i drogę wciąż myli
i pędzi donikąd
przygarnij ją blisko
do serca i ogrzej
ty przecież nią jesteś
samotna muzyko

– A co dalej? Musiałbym rozstrzygnąć definicję samotności. Tego, co w pierwszej strofie zostało zasugerowane jako wrażliwość odbioru, czy też tego, co w ewentualnym refrenie niesie podtekst, że to my niesiemy w sobie i z siebie „rzutujemy" muzykę na otoczenie. Gdyby tak, to wtedy wiatr z pierwszej strofy należałoby w jakiś sposób oswoić, przydać mu osobistego, ludzkiego chłodu bądź ciepła. Wtedy też być może z tej pierwszej strofy zniknęłyby skrzypce. Itp. itd.

– Czy chciałbyś coś jeszcze zmienić?

– Chętnie też zrezygnuję z pierwszej linijki. Rozsypanie zostało przecież zawarte w obrazie: „zima przez park idzie (nuty pod stopy rzuca) śniegiem sypie". Jest tu coś więcej, coś, co pozwala rozwinąć pomysł owego „dziania się tej muzyki w nas". Sypiący śnieg przesłania krajobraz, upodabnia go do świata z bajki, marzeń, zadumania, sennego widzenia. Bogata staje się przez to gama możliwości interpretacyjnych. Rosną walory obrazowe tekstu. W refrenie też trzeba dużo zmienić. Rozbić szyk wyrazów: „muzyka się błąka". Zamiast: „przygarnij ją blisko do serca i ogrzej", zostawiłbym raczej: „przygarnij ją blisko i ogrzej". Podoba mi się natomiast zwrot: „samotna muzyko". I tyle by z tego wstępnego, żywiołowego rozkołysania należało zostawić. Może niewiele. Może dużo.

– Ciekawy jestem, czy lubisz pisać do gotowej już muzyki i czy starasz się wtedy uzupełniać klimat muzyczny, czy też skłaniasz się raczej ku przekorze i budujesz tekst na zasadzie kontrapunktu?

– Tu mam mniejsze doświadczenie, pragnę jednak spróbować swych sił i na tym polu. Wierzę, że będzie to znaczny i twórczy impuls dla wyobraźni. W naszej najnowszej tradycji mamy piękne przykłady współdziałania poety z kompozytorem – mam na myśli twórczość Wojciecha Młynarskiego czy Agnieszki Osieckiej. Wzorem niedoścignionym jest cudowne połączenie obu tych szczególnych uzdolnień, jak w przypadku Aznavoura czy Okudżawy. Tam, gdzie uzdolnienia zostały rozdzielone, trzeba dokonywać ponownej syntezy pracując w zespołach. Taka jest praktyka i taka jest na ogół prawda...

– Rozmawiamy o muzyce i poezji z absolwentem AWF, doktorem i redaktorem naczelnym miesięcznika naukowego „Kultura Fizyczna" – więc chciałoby się zapytać, co ma wspólnego sport z muzyką i poezją?

– W moim przypadku wiele, o choćby to, że chciałem wygrać w konkursie na piosenkę, że umiem odnieść się do wygranej ze „sportowym" dystansem, że „po sportowemu" stanę na starcie do kolejnej próby i godnie zniosę porażkę. Zaraz: „porażka"... Co to znaczy? W sporcie nie ma przegranych. Są lepsi. Uczmy się tej prawdy. Czy może być mowa o porażce w sztuce? Nie. Są jedynie lepsi. Ale sport uczy jeszcze czegoś, wiary w lepsze jutro, wiary w postęp, wiary w człowieka. Czyż nie takie funkcje wobec człowieka pełni sztuka – muzyka i poezja? Muzyka łagodzi obyczaje, poezja czyni ludzi bliższymi sobie, sport przełamuje granice dzielące narody i państwa. „Pieśń o sporcie – jak mówił Jan Parandowski – jest nieustającą pieśnią o pokoju".

AZYMUT WĘGIEL

Czy uda się po raz drugi?

Oczywiście mowa o wygraniu konkursu pn. „Azymut-Węgiel", a taką właśnie wątpliwość mają uczniowie ze Szkoły Podstawowej nr 6 w Słupsku, zwycięzcy czwartej edycji tego konkursu.

Samorząd Szkolny i 445 uczniów z klas V–VII którzy przystąpili do wykonania tegorocznych zadań zaliczyli już pierwsze zadania obowiązkowe: Dzień Górnika. We wtorek 5 grudnia odbył się uroczysty apel przygotowany i przeprowadzony przez VIIId, a poświęcony górniczemu świętu i ogłoszeniu całej szkole zadań, które wybrano do wykonania w konkursie.

Przygotowania do realizacji wielu z nich są już daleko posunięte. I tak wiadomo już np., jakie filmy wypożyczone zostaną z Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów i wyświetlone podczas szkolnego przeglądu filmów o tematyce górniczej. Kieruje tym sekretarz Samorządu Szkolnego Andrzej Bernal. Wiadomo, że 12 stycznia odbędzie się w szkole górnicza wizyta, na którą zostaną zaproszeni górnicy z Rybnickiego Okręgu Węglowego oraz stale współpracujący ze szkołą przedstawiciele kopalni z Nowej Rudy.

Jak zwykle prężnie działać będzie szkolne biuro pośrednictwa, prowadzone przez klasę VIIId. Wyjątkowo ciekawie ma być w tym roku wykonana księga braci górniczej. Jak? – to niespodzianka – wyjaśnia opiekunka Samorządu Szkolnego, pani Zofia Dziduch. – Chcemy zawrzeć w niej nie tylko podstawowe dane, ale także opracować je w interesujący sposób.

Wypada tylko życzyć uczniom ze Szkoły Podstawowej nr 6 wielu ciekawych pomysłów i wytrwałości w ich realizowaniu. A wtedy może uda im się powtórzyć poprzedni sukces. Będzie to jednak trudne, bowiem konkurentów dużo, a rywalizacja zapowiada się w tym roku bardzo ostra.

(mt)

ZADANIE PREMIOWANE NR 213

Wirówka geograficzna

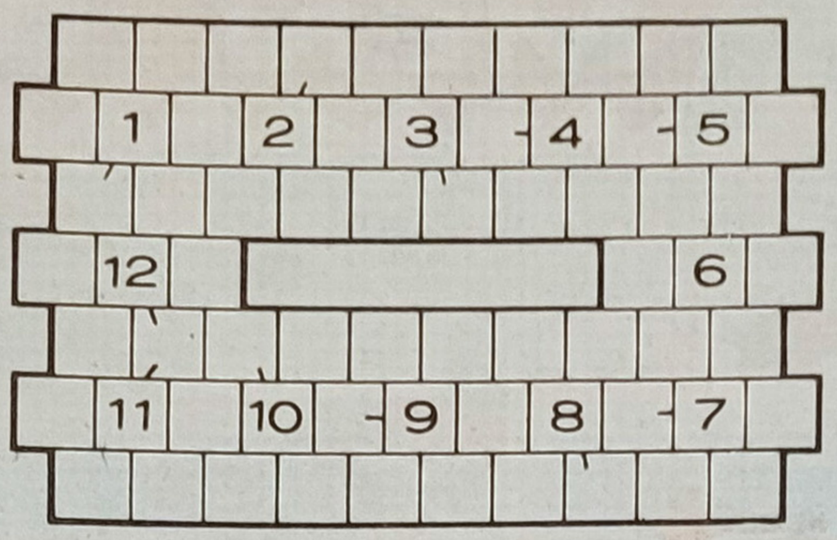

Odgadnij wyrazy o podanych znaczeniach i wpisz je do diagramu tak, aby powstała wirówka. Początek wpisywania w polu oznaczonym kreską. Rozwiązanie napisz na kartce pocztowej i prześlij je w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 213".

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród.

ZNACZENIE WYRAZÓW

PRAWOSKRĘTNIE: 1) miasto ze Szkołą Orląt, 2) historyczna dzielnica Polski w dorzeczu Pregoły, 3) miasto w woj. koszalińskim, znane z fabryki zapałek, 4) połączony kanałem z Krzną, 5) przepływa przez Tomaszów Mazowiecki, 6) prawy dopływ Pilicy, 7) do 1596 roku był stolicą Polski, 8) rzeka, nad którą leży Rzeszów, 9) lewy dopływ Warty, 10) wpada do Dunajca, 11) część Trójmiasta, 12) jezioro na Wybrzeżu Słowińskim.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 209 ZE 135 NUMERU „ŚWIATA MŁODYCH" Z DNIA 18.11.1978 R.

Prawidłowe rozwiązanie – Prawoskrętnie: podłoga, powieść, polewka, chodnik, spięcie, zgranie, podatek, zabytek, dorobek. Lewoskrętnie: podłość, powieka, chlewik, spodnie, zgięcie, poranek, zadatek, dobytek, skrobia.

Nagrody wylosowali:
Halina Bąk – Zaszczytowo, Kazimierz Brzeziński – Ludwików, Dorota Catewicz – Połczyn Zdrój, Małgorzata Działdowska – Jabłonowo Pom., Anna Łomot – Poznań, Dariusz Miętek – Łajski, Grażyna Nowakowska – Słupsk, Jarosław Sacha – Tarnów, Wioletta Szatkowska – Jugów, Adam Trybka – Sucha-Góra.

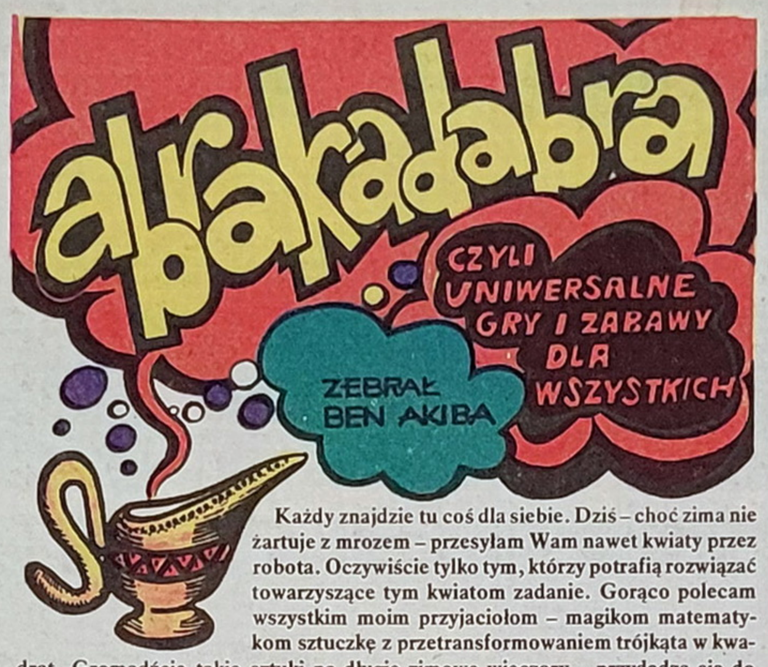

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Dziś – choć zima nie żartuje z mrozem – przesyłam Wam nawet kwiaty przez robota. Oczywiście tylko tym, którzy potrafią rozwiązać towarzyszące tym kwiatom zadanie. Gorąco polecam wszystkim moim przyjaciołom – magikom matematykom sztuczkę z przetransformowaniem trójkąta w kwadrat. Gromadźcie takie sztuki na długie zimowe wieczory – przydadzą się do ciekawego zabawienia towarzystwa. Sztuczkę z szachownicą z kryształowego szkła specjalnie zagmatwałem, chociaż jest ona bardzo prosta. Więcej nic na ten temat nie powiem, bo gotów byłbym zdradzić rozwiązanie.

Wszystkim mówię: do zobaczenia za tydzień!

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

KWADRAT Z TRÓJKĄTA

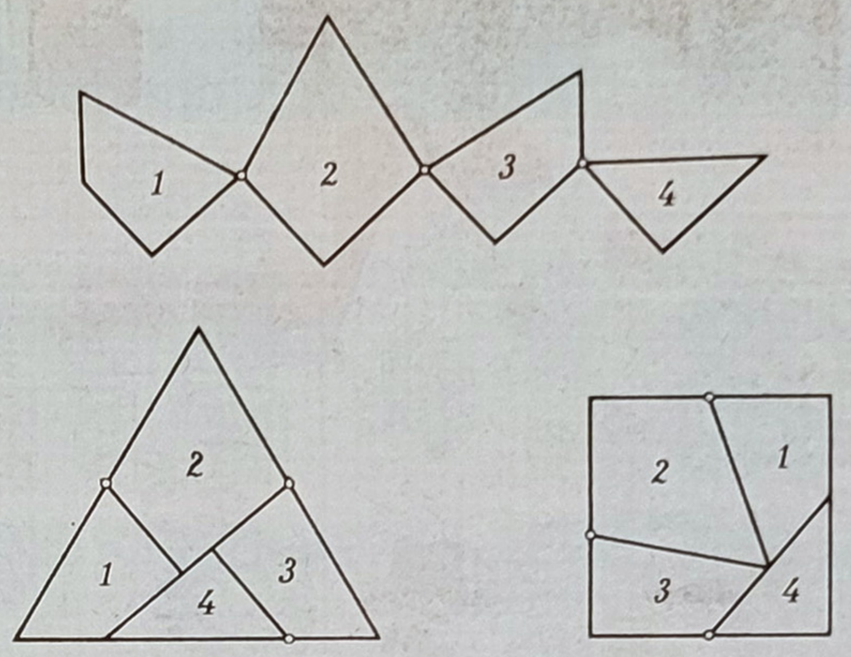

Jak można trzema cięciami podzielić trójkąt równoboczny na takie cztery części, z których można ułożyć kwadrat? Całą kombinację przedstawia rysunek. Kto chce, może sobie go odpowiednio powiększyć na kawałku grubej sklejki, domontować zawiaski w oznaczonych miejscach i mieć rekwizyt do demonstrowania sztuczki.

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEJ SOBOTY:

3036 – 691 = 2345
: + −
69 × 23 = 1587

44 + 714 = 758

TAJEMNICZE DZIAŁANIA: odpowiedź w rachunku obok. **SZEŚĆ KLUCZY OD SKARBCA:** oto pary właściwe – 1–E, 2–A, 3–C, 4–F, 5–B i – wydawałoby się – 6–D; ale ostatni klucz nr 6 pasuje do dziurki D tylko wtedy, gdyby wkładać go od środka skarbca, co jest przecież nie do wykonania. Prawdopodobnie ktoś musiał zamienić magowi ten klucz, może jakiś złośliwy dżinn pustyni; jedyny ratunek – to wezwać dobrego ślusarza.

Szachownica dla maga

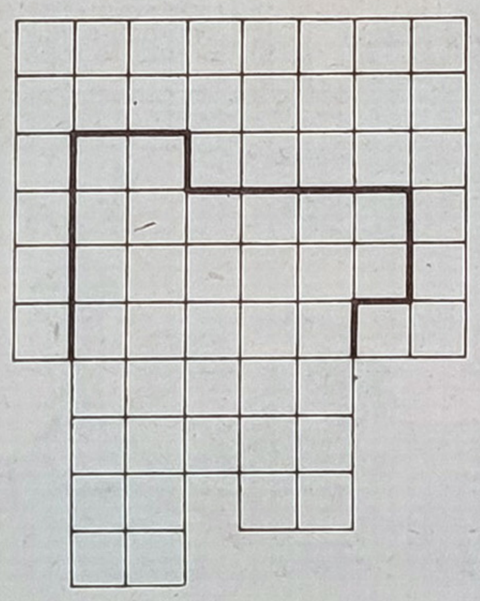

Chciałem na stuletnie urodziny podarować memu znajomemu magowi – szejkowi Achmedowi – kosztowną szachownicę. Miałem przeznaczony na ten cel kawał kryształowego szkła, z wtopionymi w nie drucikami oznaczającymi poszczególne pola szachownicy. Drucików nie było tylko w miejscach oznaczonych na rysunku grubą linią. Dobra nasza – pomyślałem sobie – właśnie w tym miejscu przetnę grube szkło. Ale czy wiecie, jak się z tym namęczyłem?! Cały spocony przeciąłem wreszcie wzdłuż całej tej linii i wtedy przekonałem się z radością, że nie będę musiał już dokonywać żadnych dalszych cięć, że mam już prawie gotową szachownicę dla Achmeda. Tylko jeden mały manewr i mogę ją już oprawiać w ramę. Jakiego manewru muszę dokonać, odpowiedz. I pamiętaj, chodzi o szachownicę o 64 polach, zwyczajną, choć z kryształowego szkła.

KWIATKI OD ROBOTA

Nasz abrakadabrowy robot składa dziś przedświąteczne życzenia z kwiatkami w ręce i z otwartym sercem. Jednocześnie zachęca wszystkich do przeprowadzenia „próby Sokolego Oka". A więc – które z fragmentów zawartych w pięciu kwadracikach pochodzą rzeczywiście z postaci robota, a które są „podrabiane"?

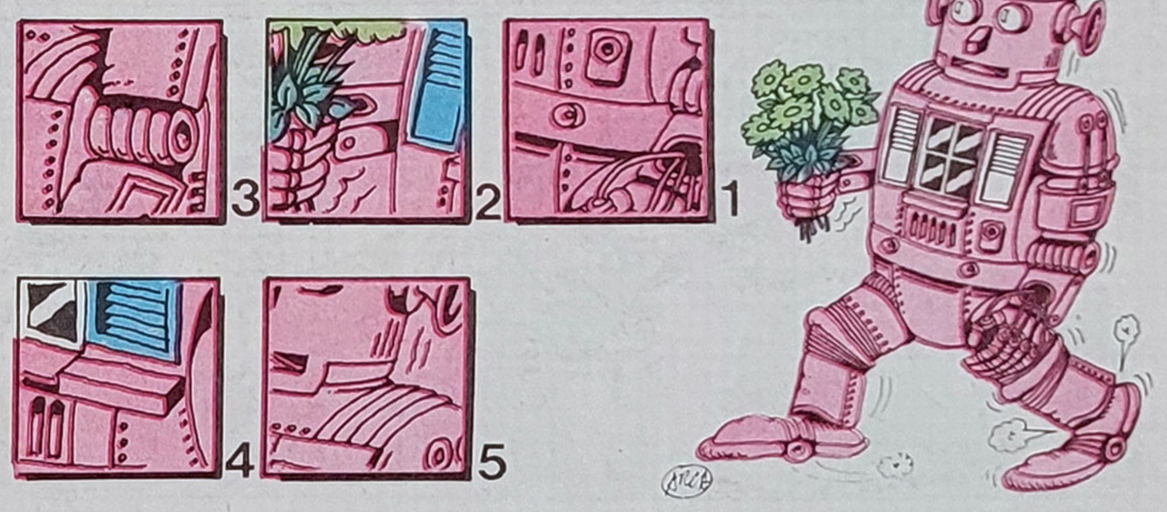

– Trochę – machnęła lekceważąco ręką. – Ale to nic. Nie przypominaj mi o tym.

– Obserwował Juliettę spod oka. Widział, że idzie z coraz większym wysiłkiem. Przystanęła kilka razy, niby to oglądając wystawy sklepów, potem szła znowu, zaciskając piąstki.

– Chodź szybciej – przynaglała. – Chodź szybciej, bo się spóźnimy.

Spóźnili się naprawdę. Robotnicy już wozili skrzynki.

Powiedział Julietcie, żeby stała przy torbie, a sam poszedł szukać owoców.

Przechodząc wzdłuż pociągu zobaczył coś, co przykuło jego uwagę tak bardzo, że zapomniał zupełnie o pomarańczach. Oto robotnicy przenosili ostrożnie jakieś skomplikowane maszyny, które było widać przez drewniane listewki skrzynek.

Zbliżył się i na jednej z nich przeczytał wyraźny napis: „Made in Poland". Stał przez chwilę bez ruchu, zapatrzony.

Obok pracujących tragarzy kręcił się, pomagając im w przeładunku i doglądając wszystkiego, jakiś młody, elegancki mężczyzna. Janek zdobył się na odwagę i upatrzywszy odpowiedni moment, podszedł do niego.

– Pardon, monsieur – zaczął. – Voulez vous m'explique...*

Ale okazało się, że był to polski inżynier, więc dalsza część rozmowy mogła się odbyć po polsku, tak jak w rodzinnym domu Janka.

Inżynier wyjaśnił, że są to maszyny elektroniczne, bardzo skomplikowane i precyzyjne, a przeznaczone na wystawę, która wkrótce ma być otwarta w Paryżu. On sam zresztą brał udział w projektowaniu. Och, nie była to taka prosta sprawa, musiały współpracować różne gałęzie przemysłu, różne – ma się rozumieć – placówki naukowe, ale w sumie nie tak długo z tym zeszło...

Mówił to wszystko po prostu, jakby konstruowanie podobnych maszyn było w tej dalekiej Polsce rzeczą zupełnie zwyczajną.

Janek aż poczerwieniał z zachwytu i przejęcia. Chciałby dowiedzieć się jeszcze wielu rzeczy, ale nie było na to czasu, zresztą wiedział już to, co najważniejsze.

Inżynier słabo mówił po francusku, więc Janek uszczęśliwiony, że może się na coś przydać, pomógł mu dogadać się z robotnikami.

Kiedy maszyny stały już na platformie ciężarówki, pobiegł po Juliettę. Trzeba jej to koniecznie pokazać. Za tę rzepę.

Nie bardzo z początku rozumiała, o co chodzi, z trudem sylabizowała litery, musiał jej wszystko tłumaczyć.

– Ja się nie znam na takich rzeczach – powiedziała wreszcie. – Tak mnie ciągnąłeś, myślałam, że pomarańcze.

– Och, zrozum, że to jest ważniejsze od całego pociągu pomarańczy!

– Pewnie – zgodziła się bez przekonania. Za chwilę ścisnęła Janka za rękę i roześmiała się. – Widzisz, że dzisiaj jest naprawdę wspaniały dzień: Wspaniały! I noga coraz mniej mnie boli.

Z tą nogą nie było zupełnie dobrze. Julietta przystawała co parę kroków. Janek musiał się na nią naczekać, zanim doszli wreszcie na umówione miejsce spotkania.

Za to kolacja w trójkę była znowu wspaniała. Siedzieli sobie na kamiennym brzegu, machając nogami nad wodą i jedli przyniesione przez Piotra wiktuały.

– Mieliście dziś śpiewać na schronisku – przypomniała Julietta.

– Dobrze, pośpiewamy.

Z hotelu trzeba było i tak zrezygnować, nie starczyłoby pieniędzy, a z oberży przecież „nikogo nie wyrzucają" – twierdziła Julietta.

Na dziedzińcu siedzieli grupkami młodzi ludzie i rozmawiali. Pod drewnianym daszkiem palił się jeszcze ogień w kuchni polowej. Światło podbarwiało liście, powietrze było spokojne i nagrzane od letniego dnia. Gdzieś daleko przeleciała przez niebo błyskawica, ale odgłos grzmotu nie dotarł do nich.

Piotr od niechcenia zaczął brzdąkać na gitarze.

Julietta zanuciła piosenkę o pomarańczach, śpiewała z przejęciem, wkładając w to całą pasję. Słuchacze zaraz podchwycili refren i wkrótce cała oberża śpiewała o pomarańczach. Dopiero koło północy dziedziniec zaczął pustoszeć. Młodzi turyści porozchodzili się do baraków, a muzykanci ułożyli się do spania na miękkiej trawie pod daszkiem. Wszyscy troje byli bardzo zmęczeni. Dużo rzeczy wydarzyło się tego dnia.

Cdn

* Pardon, monsieur... (franc.) – Przepraszam, pana. Czy może mi pan wyjaśnić...

tekst & rysunki T. BARANOWSKI

ORIENT MEN

ŚWIEŻY · TUMANI · PRZESTRASZA

ODC. 26

STRESZCZENIE

BARDZO PRZEPRASZAMY DOSTOJNEGO JUBILATA, ŻE TAK JAKOŚ NAM SIĘ NIE UDAWAŁY STRESZCZENIA JEGO PRZYGÓD, A W OGÓLE PISALIŚMY O KIMŚ INNYM. A OTO STRESZCZENIE: (WERSJA PRAWIDŁOWA) ORIENT-MEN LECĄC DO CELU ZNAKOMICIE NAPRAWIŁ KALORYFER PEWNEMU ESKIMOSOWI, JEDNAK TEN USTRĘTNY NIEWDZIĘCZNIK PRZEŚladowAŁ GO NIE WIADOMO ZA CO, CZEMU NIEJEDNOKROTNIE DALIŚMY OPOR NA ŁAMACH NASZEJ GAZETY....

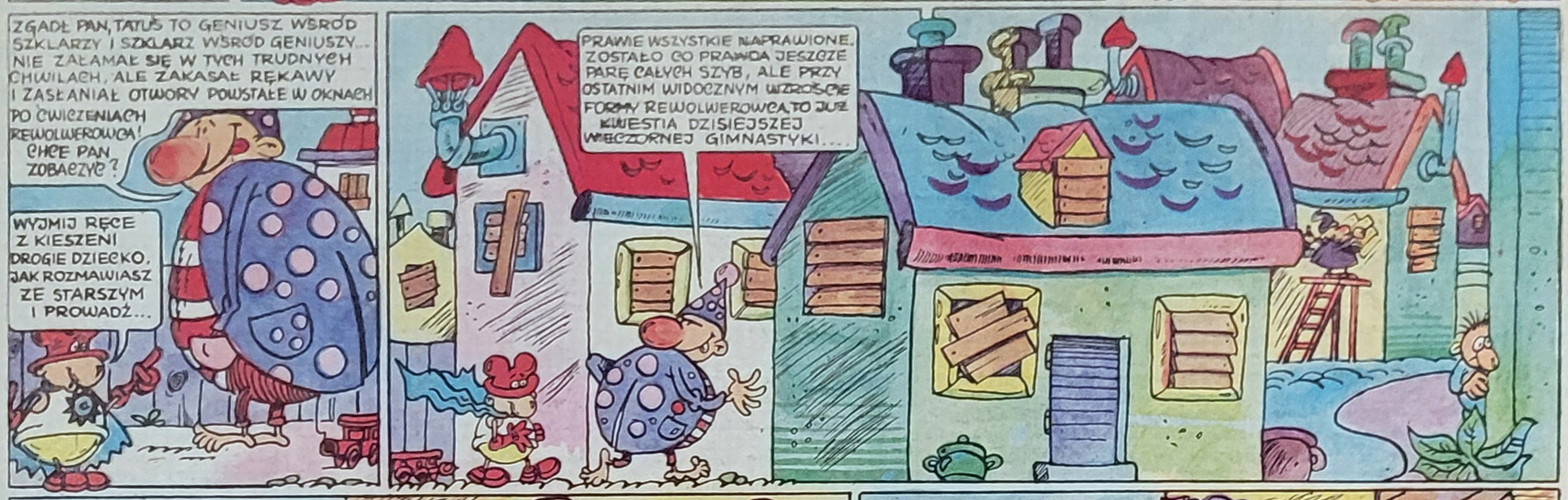

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569)

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Marta Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzchołska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 23-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowi urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046

Opracowanie graficzne
Szarlota Pawel

Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Zam. 7882/G S-18

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

Karol Małusiak

30

BALLADA ZNAD SEKWANY

— Trzeba, trzeba... A ja też bym najchętniej wsiadł do pociągu...

– Wsiadaj, wsiadaj! – Jan roześmiał się głośno. – Będziesz jechał na gapę, złapią cię i narobią takiego bigosu, że się nie pozbierasz.

– Przystanął i kopnął z całej siły puste pudełko po papierosach. Wpadło prosto do otwartych drzwi sklepu. – Jeden zero! – zawołał. – Wygrałem! Teraz już nie masz nic do gadania, braciszku.

Więcej już nie rozmawiali na ten temat.

Obaj byli głodni, a nie chcieli wydawać ostatnich franków. A gdyby tak pójść do tego schroniska, gdzie zatrzymała się Julietta, i pośpiewać trochę? Może daliby coś zjeść i nocleg byłby lepszy niż pod mostem... Ale to na później, na wieczór. A teraz... Powlekli się w stronę Sekwany, noga za nogą, bo przecież coś musieli ze sobą zrobić.

No więc stali się prawdziwymi włóczęgami. Mogli sobie iść, gdzie im się podobało, w tobołku mie mieli już prawie nic. Trochę nadziei, trochę żalu do świata, trochę rezygnacji. Nie ma nawet o czym mówić... A tak pięknie to wyglądało w balladzie Brassensa. Czy on zaznał kiedyś prawdziwej, beznadziejnej włóczęgi? Chyba tak. A przecież to, co najbardziej gorzkie, pozostawił tylko dla siebie. Tak, piosenka musi trochę kłamać, bo inaczej nie pofrunie.

Środkiem rzeki płynął powoli wypełniony turystami elegancki stateczek. Z pokładu ktoś pomachał im ręką, ale nie odpowiedzieli na pozdrowienia. Inny świat, inne sprawy, nie ma porozumienia... A jednak – może to właśnie dla tych bogatych turystów przyjdzie im kiedyś śpiewać? Poplątane to wszystko tak dokładnie, że nie rozplączesz.

– Chcę być sam – powiedział nagle Piotr. – Pójdę dalej – może znajdę jakąś robotę.

I poszedł. A Janek czekał na Juliettę.

Przyszła wkrótce – wesoła jak zwykle – i rzeczywiście prawie już nie kulała.

– To jest najgorsza rzecz, kiedy boli noga – mówiła idąc obok Janka. – Wcale o tym nie wiedziałam...

Gdy wspomniał, że może pośpiewają wieczorem w schronisku, aż podskoczyła z uciechy.

– Tam śpiewają co wieczór! – zawołała. – Co kto umie. Czasem po włosku, czasem po hiszpańsku – różnie. I jest zawsze bardzo wesoło. Będę wam biła brawo jak szalona.

– Jeszcze nie wiesz, czy ci się spodoba.

– Mnie się wszystko podoba – zapewniła. – Lubię nawet smutne piosenki. A najbardziej to te, trochę smutne i trochę wesołe. Wtedy chce się płakać i śmiać, i jest naprawdę bardzo... – szukała przez chwilę odpowiedniego słowa – jest naprawdę bardzo admirable. – Nagle złapała Janka za rękę. – Powiedz to po polsku – poprosiła.

– Co mam powiedzieć?

– „Admirable".

– Wspaniale.

– Dobrze. Będę już wiedziała. Wspaniale – powtórzyła kilka razy, przeciągając śmiesznie głoskę „s". – Zobaczysz, jak nam się dziś wspaniale uda handel.

Kiedy szli do dworca, Janek zauważył, że mała kuleje coraz bardziej, chociaż stara się, aby tego nie było widać.

– Boli cię noga? – spytał.

Dokończenie na str. 7.